



Cena 60 groszy

T Y G O D N I K

Nr. 14 (66)

Warszawa, Niedziela 5 kwietnia 1925 r.

BIBLIOTEKA
DOMU POLSKIEGO
WARSZAWA NOWOWIEJSKA 27 KONTA P.K.O. 9779

Rok II

WIADOMOŚCI LITERACKIE

Boy o Balzacu w Polsce

Wywiad własny „Wiadomości Literackich”

Ujrzawszy po dłuższej przerwie nowe tomiki „Komedji ludzkiej”, zapragnęliśmy dowiedzieć się, w jakiej fazie znajduje się to przedsięwzięcie, które, mimo że podjęte — jak wszystkie zresztą poczynania Boya — nawpół od niechcenia, jest jednym z największych i co do rozmiarów i co do doniosłości. Cały Balzac po polsku! Ujrzałszy przytem na ostatnim tomiku („Honoryna”) cyfrę 81 tom przekładów Boya: dziewięć krzyżyk jego „Biblioteki”; ależ to istny jubileusz! Boy jest takim przyjacielem jubileuszów, że nie można mu oszczędzić tej okazji. Udałem się tedy wprost do źródła: do mieszkania Boya-Zelęńskiego na Smolną. Zastałem go w gabinecie, gdzie z jednej ściany spoglądają najpiękniejsze Grottiery, z drugiej wspaniałe kartony Wyspiańskiego, a z trzeciej szczyty zęby upiorny „Witkacy”. Boy grzebał się właśnie w swojej biblioteczce balzakowskiej, która w jego księgozbiore zajmując dobrych kilka półek. Jest tam oczywiście nowe pomnikowe wydanie Bouterona, którego dotąd wyszło 28 wielkich tomów, i kwartalnik „Cahiers Balzaciens”, stanowiący niby wykwiśniętą kapliczkę kultu Balzaca, i słynny skorowidz do „Komedji ludzkiej”, i rzadkie dziś dzieło Spoelbercha de Louvenjoul „Histoire des oeuvres de Balzac”, i wszystko prawie co istnieje w zakresie fundamentalnych prac i „przeżytków”.

Przystępuję wprost do rzeczy:

— Czy pan trwa w swoim zamiarze wydania całej „Komedji ludzkiej” po polsku?

— Oczywiście że trwam. Nie mogę inaczej. Widzi pan, — mówi Boy ze swoim uśmiechem, — ja nie mógłbym żyć w społeczeństwie, które nie zna Balzaca. Musiałbym się ekspatriować.

— I w jakim okresie czasu może być dokonana ta olbrzymia praca?

— Potrochu, potrochu. To nie tylko ode mnie zależy. I od publiczności, i od wydawców...

— Tych chyba panu nie brak...

Boy uśmiecha się jakoś dziwnie.

— Widzę, że zbiorowe wydanie „Komedji ludzkiej” firmowane jest nakładem „Biblioteki Boya”?

— Właśnie. Ta „Biblioteka Boya”, jako spółka wydawnicza, to dziwotwór, stworzony przeze mnie w momencie kiedy się paliłem do wydania całego Balzaca, a jakoś żadnemu wydawcy nie mogłem mojego zapалу udzielić.

— I jakże prosperuje ta „Biblioteka Boya”?

— W tej chwili goła jest jak „najpiękniejsza z kobiet”. Dla mnie ona jest dość drogą kochanką. W ciągu roku dałem jej sześć tomów skryptu i sporo gotówki, narazie bezzwrotnie. Ale mam nadzieję, że się poprawi. Zresztą w ostatnim czasie sprzeniewierzam się jej potrosze. Jak pan widzi, ostatni tomik, „Honoryna”, wyszedł nakładem „Biblioteki Dzieł Wyborowych”. To mi trochę zepsuło symetrię; ale co za pokusa: tomik w oprawie 1 zł. 23 groszy, nakład dwadzieścia tysięcy egzemplarzy, które w ciągu tygodnia znajdują się w rękach odbiorców. I co za czytelnicy! tylko tańsza książka ma takich czytelników entuzjastów! Niech pan spojrzy, co za list napisał do mnie młody żołnierz po przeczytaniu „Honoryny”:

„...Wrażenie, jakie ta książka na mnie wywarła, jest tak wielkie, że nie kuszę się nawet próbować oddać go w liście... Wystarczy, jeżeli powiem, że, mimo całego nacisku psychicznego wojska, mimo moich najlepszych chęci „służbowych”, nie mogłem się przez dobrych kilka dni oderwać myślą od Balzaca, w czasie gdy zgolałem czem innym winieniem był być zajęty. A wielu się chwylał podstępem i sztuczką, aby móc tę książkę szybko do czytać! Był jeden moment, gdy ja czytałem w „00” (!), byle nie być do ćwiczeń czy do jakiegoś wykładu oderwanym. Tu trzeba dać trochę objaśnienia, jak się przedstawia wojskowy... Teraz książka poszła tu w kurs”...

Oto wymowna odpowiedź na zastanawianie się niektórych naszych krytyków, czy Balzac jest dziś jeszcze aktualny i czytelny. W ten sposób odnosi się do Balzaca najmłodsze pokolenie czytelników, podczas gdy niedawno w jednej z notatek sprawozdawczych czytałem wątpliwości, „czy Boy nie trwoni swą bajeczną pracowitość i talentu tłumacza, aby otrępywać kurz i pleśń i t. d. i t. d. Ale losom Balzaca było i za życia, że się

porozumiewał z czytelnikami ponad głową krytyki, nie więc dziwnego, że tak jest z nim dziś i u nas.

— A jak się wogóle przedstawiała kwestja Balzaca po polsku?

lacy. Zapewne, że wśród ówczesnej polskiej publiczności przeważały te sfery, które czytały Balzaca w oryginale, ale i tak, mimo wszystko, luka ta może się wydać dziwna!

nie była „Komedja ludzka”. Tak więc „Komedja ludzka” dopiero obecnie odślania się powoli polskim czytelnikom.

— Pan pracuje nad Balzaciem już od dawna?

go można zgrupować inne utwory, w nim skupia się większość figur powtarzających się w „Komedji ludzkiej”. Kiedyś się zdecydował na całkowite wydanie, rozpocząłem je od „Ludwika Lambert”,

tem: podawać Balzaca tak, aby go czytali i rozumieli. W tym celu poprzedzam każdy utwór przedmową, dla umiejscowienia go w całości „Komedji ludzkiej” i zbliżenia do czytelnika. Będzie to jedyne wydanie Balzaca komentowane w ten sposób.

— Z tych przedmów złoży się zapewne monografia Balzaca pańskiego pióra, jak już jest monografia Moljera?

— Już właściwie mogłaby być, gdyby trochę uzupełnić, uporządkować. Ale na to jest jeszcze czas, a właściwie niema czasu, na nic niema w tej Warszawie czasu, to rozpaczliwe...

— W ostatnich miesiącach był pan naprawdę w tej Warszawie gościem. Rozwijał pan podobno propagandę balzakowską?

— Istotnie. Z odczytem moim o „Komedji ludzkiej” i o kobiecie trzydziestoletniej” obiechałem dobry kawał Polski od Katowic i Bydgoszczy po Równe i Grodno, nie licząc dużych miast, jak Kraków, Lwów, Poznań i t. d., wszędzie budząc zainteresowanie i ściągając publiczność. Naszpikowałem, jak pan musiał zauważyć, różne pisma artykułami o Balzacu, w czem przyszła mi w pomoc aktualność stworzona w ostatnim czasie dokoła pani Hańskiej. Ale to dopiero początek. Już nie popuszczę polskim czytelnikom, aż nazwiska Rastignaca lub pani de Maufigneuse staną się tak potocznym terminem, jak nazwiska ordynata Michorowskiego i jego Stefci z „Trędowatej”.

— To wiele powiedziane. Ale znając pańską energję i upór, wierzę, że się to panu uda. Jednak... daruję mi pan to niedyskretne może pytanie... czy pan nie sądzi, że zaabsorbowanie tą olbrzymią pracą jest, bądź co bądź, ze szkodą dla...

Twarz Boya przybiera grymas zniecierpliwienia. — Już wiem — mówi. Słyszałem to nieraz. Ze szkodą dla mojej twórczości. Być może. Ale, ostatecznie, ktoś to musi zrobić. „Komedja ludzka” czekała w Polsce blisko wiek na swego człowieka, tak jak po kilka wieków czekali Rabelais, Montaigne, Pascal, Moljer i t. d.... Ktoś to musiał zrobić. Powiedziałem panu, że nie mogę żyć w społeczeństwie nie znającym pewnych rzeczy. Och, to wieczne pytanie, które już tyle razy słyszałem i które mnie o młodości przyprawia: „Czemu pan tylko tłumaczy? czemu pan sam nic nie napisze?” Trudno mi jest przed każdym się usprawiedliwiać, że oprócz kupy wierszy, które wszyscy umieniają na pamięć, wydałem i parę tomów studjów literackich, i w zeszłym roku wielką monografię o Moljerze, i właśnie oddałem do druku piaty (uważa pan: piaty!) tom „Flirtu z Melpomeną”, wreszcie pyskuje, klóć się, awanturuje, fletjonuje co wlezie; nic nie pomaga, każdy dudek (z przeproszeniem) pyta się mnie: „Czemu pan sam nic nie napisze?” To nieprzymierzając tak, jakby przyjaciela mego Kornela, który wydał ze trzydzieści tomów, ale który ma tę słabość, że lubi grać w bridża, ciągle pytało: „Czemu pan, taki zdolny, tylko grywa w bridża?” Powiedźcie sobie, że przekłady to jest mój bridż, moja rozrywka, i już; a że narosło z niej z górą osiemdziesiąt tomów, to cóż ja jestem temu winien?...

Widząc, że jubilat rozsiardził się nie na żarty, zrejterowałem co rychlej. — Już rozumiem (rzekłem). Bridż.

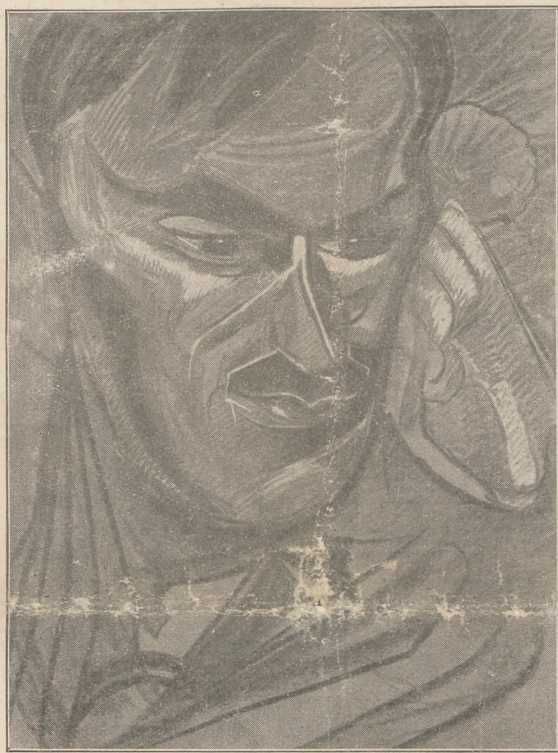
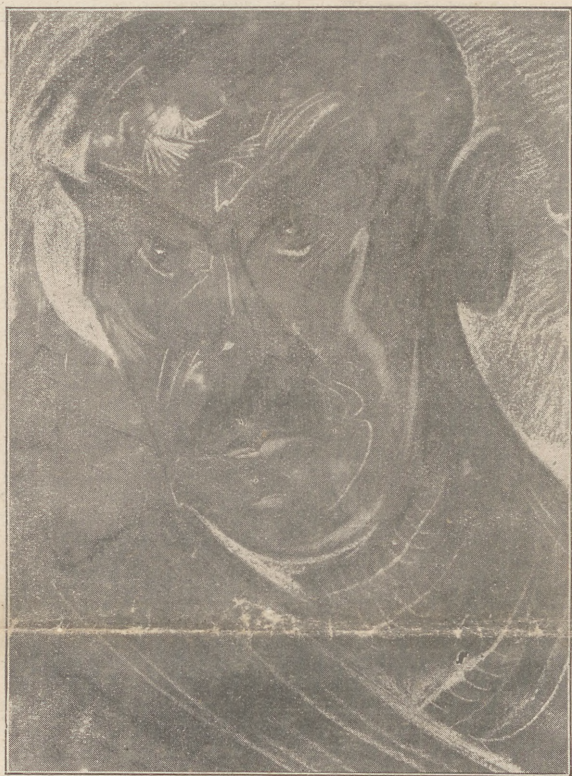
— A może trochę — uśmiechnął się Boy już złagodniały — mój klasztor, podręczny klasztor, ucieczka od neurastenji... Ale mniejsza z tem. Zresztą, jeżeli to komu sprawi przyjemność, powiem panu, że zapewne obecnie zwolnię tempo przekładów i będę się mógł poświęcić wglębianiu we własną duszę. Nasi księgarze starają się o to, aby tempo moich prac nie było zbyt pośpieszne. I tyle mogę powiedzieć, że, gdybym w swoim czasie, machnawszy ręką na księgarzy, nie zdobył się na ten tupet, aby wydać z górą czterdzieści tomów własnym kosztem (co dziś jest niestety trudniej), nie byłbym wogóle nigdy z miejsca ruszył. Zato dostałem świeżo aż z Wiednia propozycję, abym, za cenę jakiej tylko zażadam spolszczył drugą część „La garçonne”.

— I co pan odpowiedział?

— To samo, co pewien marszałek niegdyś po francusku na polu bitwy, a inny znów marszałek niedawno po polsku na radzie ministrów...

Po tem skrzydlatem słowie pożegnałem Boya. Czulem, że oznacza ono zamknięcie audjencji.

cd.



FRAGMENT GABINETU BOYA:
szczęść portretów pisarza pendzla St. I. Witkiewicza

— Bardzo osobliwie, aż trudno uwierzyć. Mogę panu odpowiedzieć szczegółowo, gdyż z ciekawości przewertowałem Estiechera, szukając wszelkich śladów. Pomiedzy r. 1835—1838 ukazał się jakiś dziesiątek utworów Balzaca, doraznie spolszczonych jako nowości, przezwane w przekładzie F. S. Dmochowskiego. Następnie od r. 1838 — 1880, t. zn. w ciągu lat z górą 40, nic! A zważmy, że były to lata, w których najpierw twórczość a później sława Balzaca dosięgły swego szczytu, że właśnie dopiero w latach czterdziestych powstał tytuł „Komedji ludzkiej” i ukazało się jej zbiorowe wydanie, że za życia Balzaca z Niemiec i z Anglii przyjeżdżali do Paryża tłumacze, aby przekładać jego utwory już z korekt i móc je dać swej publiczności równocześnie z oryginałem! I dodajmy, iż Balzac przez swoje stosunki z panią Hańską osobliwie blisko był z Polską związany, że się nią żywo interesował, że nieraz bohaterami jego utworów byli Po-

— A później?

— Później, w latach osiemdziesiątych, pojawia się owo znane Lewentalowskie wydanie („Biblioteka Najcelniejszych Utworów”), które obejmuje z tuzin wybitnych powieści Balzaca. Wydanie to było niemalym czynnem i właściwie pierwszą rewelacją Balzaca po polsku, ale na ono dwie wady. Jedna — to przekład rozmaitych zresztą piór, przeważnie kobiecych, sumienny naogół, ale ciężki, że zaś Balzac sam przez się nie jest pisarzem bynajmniej lekkim do czytania i dalekim od „potoczności”, ciężki przekład jest dlań zabójczy. Druga wada tyczy wyboru utworów. Wydanie to nosi nagłówek „Komedja ludzka”, ale właściwie pojęcia o „Komedji ludzkiej” nie daje, daje bowiem szereg powieści Balzaca, zresztą pierwszorzędnych, ale niczem nie związanych z sobą, podczas gdy istotą „Komedji ludzkiej” są owe związki, owa jedność myśli przenikająca wszystkie utwory. To były powieści Balzaca, ale to

— Tak, „Fizjologia małżeństwa”, ta książka tak niesłusznie lekceważona przez francuską krytykę, a która niejako w zaczątku mieści już całego Balzaca, była wogóle pierwszym moim przekładem. Dziś jest już po polsku — w drugim wydaniu, jak zresztą większość tych moich dawniejszych przekładów. Do dziś wydałem dwadzieścia tomów Balzaca, dwa są pod prasą, kilka w rękopisie, ale to dopiero mała cząstka.

— A plan wydawnictwa?

— Z początku nie troszczyłem się o niego zupełnie, szedłem za swoim osobistym upodobaniem, przekładając zresztą przedewszystkiem te utwory, których po polsku nie było, a które wydawały mi się najpotrzebniejsze do wejścia w „Komedję ludzką”. Więc przedewszystkiem wielki „cykl Lucjana de Rubempré” od „Dwóch poetów” aż do „Ostatniego wcielenia Vautrina”. Ten cykl, wraz z „Ojcem Goriot”, stanowi jakby centralny punkt wielkiej płaskorzeźby. Dokoła nie-

jako najbardziej syntetycznego, a zarazem najbardziej osobistego, niemal autobiograficznego utworu Balzaca. Później wyszedł „Jaszczur”, również zawierający tyle autobiograficznego materiału. Później „Kuzynka Bietka”, i „Stara panna”, i „Honoryna”, i wreszcie „Gabinet starożytności”. O plan zaudziło się nie troszczyć dlatego, że wszystkie plany i podziały, które Balzac wprowadzał w swoich wydaniach, i które zresztą zmieniał i wywierał tak często! Bardzo dużą rolę dla ogarnięcia „Komedji ludzkiej” odgrywają poboczne utwory, mające same przez się mniejszą wartość, ale stanowiące jakby cement, który spaja poszczególne części. Wogóle nie da się tego ominąć: z innych pisarzy można przekładać tylko najcenniejsze dzieła; natomiast Balzaca trzeba dać całość, gdyż ten unikał w literaturze świata, jakim jest „Komedja ludzka”, właśnie na tym całokształcie polega. Dlatego główny mój plan streszcza się w

Antoni Słonimski

Listy do przyjaciół

Rio de Janeiro, w grudniu 1924.

14 listopada.

Opisałem już, jak wyglądał pierwszy kawałek Ameryki, który mi się pod nogi nawinał. Reszta wygląda znacznie lepiej. Kinematograf nie oszukał mnie. Na podstawie paru filmów południowo-amerykańskich wytworzyłem sobie dość wierne pojęcie o tych szerokich asfaltowych avenidach, trybranych strzelistymi palmami, o tym tłoku samochodów, tłumie czarnych ludzi ubranych białą i białych ludzi ubranych czarno. Europejczyk bowiem, który przyjeżdża do Brazylii, ubiera się w kask tropikalny i białe ubranie — natomiast Brazylijczycy chodzą w samo południe w czarnych za-



CANAL DO MANGUE

kietach, melonikach i sztywnych kolnierzach. Wyjątek stanowią Murzyni, z których każdy mógłby bezkarnie z gołą głową skakać z małpami po palmach i dlatego właśnie ubiera się przesadnie białą, wachluje się i udaje zmęczonego gorącym, — co należy do dobrego tonu.

Dawniej, kiedy czytywałem książki dla młodzieży, opuszczałem bez wahania wszystkie t. zw. „opisy przyrody”, — porwany i zaciekawiony samą fabułą. Nie przypuszczałem, że przyjdzie mi samemu w tych właśnie wymarzonych krajach duże karty papieru zapelniać opisaniami przyrody.

Zatoka Rio de Janeiro — mówiąc najskromniej — jest wielka i bogata. Góry wulkanicznego pochodzenia, porośnięte najprawdziwszym lasem dziewiczym, otaczają olbrzymim wieńcem zatokę pełną wysp, przylądków i plaż, na których szeroko rozłożone jest miasto. Natura czyni tu wrażenie planetarnej; rozmach i oszalata bujność zieleni każe szukać oczom fruujących po niebie jaszczuroptaków albo potwornych ichtiozaurów. Człowiek nie jest przystosowany w skali do tego ogromu, i dlatego może — jak nigdzie na świecie — ludzie czynią tu wrażenie bakterii, wgrzyających się w świeżość i zdrowie natury. Później nieco przekonałem się, iż ludzie tutejsi istotnie są mali i mizerni, że całe życie przegłuszone jest hukami pękających roślin, obłędem zieleni i żarem słońca pijącego krew ludzką i usypiającego energię człowieka. Nie trzeba jechać daleko, aby zobaczyć las dziewiczy — wystarczy wsiąść do tramwaju z napisem „Gavea”, aby po pół godzinie stanąć wśród gór porośniętych spletaną, nieomnierną do przedarcia się roślinnością.

Pierwszy dzień w Rio spędziłem głupio, blakając się bez końca po mieście i plażach. Byłem w poselstwie polskim. Oddałem różne listy, złożyłem parę wizyt i wreszcie — muszę się przyznać — upiłem się. Oddając listy znajomym do

Wszystko to koślawe i połamane. Mam wrażenie, że Weniawa na czele Orynga i Ostrowskiego pobili na głowę całą armię brazylijską. Spotkałem się z p. Skolimowskim, który rzucił stanowisko wpływowego krytyka muzycznego i uciekł z Warszawy, aby tu — pracując w poselstwie — upajać się egzotykiem tego pięknego kraju. Pojechalśmy razem na Leme. Jest to plaża, która wyswabza się z zamknięcia zatoki i wrzy-na ostrym białym łukiem w otwarty Atlantyk. Po południu powietrzna kolejka dostaliśmy się na Pão a Çucar, górę w formie głowy cukru, z której rozlaczka się piękny widok na miasto i zatokę.

Nocą na ulicach miasta snują się tłumy ludzi. Na balkonach ciasnych uliczek

stoją Murzynki. W czarnych wełnistych włosach mają kwiaty magnolii. W ogrodach przed domami błyskają fosforyzujące owady, wobec których nasze robaczki świętojańskie są jak ulica Świętojańska wobec Nowego Świata.

16 listopada.

Najęgantszy hotel w mieście, gdzie jest kasyno gry, dancinigi, kąpiele morskie i dwa kinematografy, „Copacabana Palace Hotel”. Stara Hiszpanka i p. Rodriguez z Matto Grosso. Tuż za oknami eleganckich sal jest morze, urwiste góry i parowy. Zupelna dzikość i opuszczenie. Próbowaliśmy wejść choć parę kroków w głąb lasu. Dusznio. Każdy krok stawia się nerwowo na gęstem podszyści krzewów, paproci, korzeni i lian, wśród których mogą być żmije, a jest milion małych muszek, wiazących w nos i usta. Las jest cichy, nie szumi jak u nas. Słychać tylko nieznaczne głosy ptaków.

17 listopada.

Małe strapienia nudzą mnie nieznośnie. Bielizna do prania. Krawiec. Trzeba się przeprowadzić. Porządkowałem rzeczy. Napisałem wiersz.

18 listopada.

Ogród botaniczny. Roślinność przestaje już na mnie działać tak oszałamiająco. Wzrok się oswaja z tą płataniną, i można już rozróżniać formy pojedynczych drzew. Widziałem na pojeźdźcu drzewa małą małpkę, parę pięknych wielkich motyli i kolibrów.

(„Czy może jamb poważny, trochę lub mówić o kolorowych malutkich kolibrach?”)

19 listopada.

Gorąco jest tak przekłete, że ranki całe siedzę a raczej leżę w domu. Przeprowadziłem się do „Selecto Hotel”. Jest to mały, bardzo miły hotelik tuż nad morzem. O dwa kroki mam plażę.

PÃO A ÇUCAR
zdjęcie Antoniego Słonimskiego

nieznajomych, byłem w jakichś cichych willach, w ogrodach pachnących wanilią — w jakichś cienistych pokojach, gdzie trzeszczało cicho drzewo posadzki, pachniały cytryny i przez zielone żaluzje paliło się słońce. Wieczorem — zmęczony — wypilem parę cocktaili i zasnąłem, mającąc o drzewach obrosłych brodatami lianami, o morzu i kołyszących się palmach. Nie wiem, czy to zrobiło dwadzieścia dni podróży, czy pięć cocktaili, ale gdy zamknąłem oczy, czułem łagodną kołysanie. Łóżko odkryte białym baldachem, chroniącym od moskitów, płynęło ze mną cicho i szczyśliwie — zanim dobiłem do portu jasnego, słonecznego poranku.

15 listopada.

Dzień święta narodowego w Brazylii. Przez ulicę ciągną bez przerwy wojska.

parę razy od początku do końca i od końca do początku, aż znalazłem parę błędów korektorskich, za co przepraszam najmocniej drogiego redaktora.

20 listopada.

Dzień cały padał deszcz. Gęsta tropikalna ulewa. Pisałem „Rozprawę o kłamstwie”. Wieczorem byłem w kinie. Harold Lloyd. Błyszczące samochody rozpryskujące wodę przed kinem. Deszcz i potoki światła elektrycznego. Zabawnie jest wyjść z amerykańskiego filmu i być na ulic w amerykańskiej. Wszystko bowiem co jest wielkoświatowe w Rio — nasładuje New-York.

21 listopada.

Ranek spędziłem na plaży. Sasiad z „Selecto” bawił mnie rozmową. Pytał się mnie m. in. czy w Polsce mówią no francusku czy po niemiecku. Powiedziałem mu, że po francusku. Obiecał mi, że mnie zapozna z pewną damą ze Szwecji, która z racji swego pochodzenia musi znać język francuski. Jest skończonym inżynierem i idiotą. Nie wie nic o Europie, nie słyszał o Napoleonie. Ostatecznie nie może Europejczyk wiedzieć niewiele o Ameryce południowej, ale obowiązkiem każdego człowieka jest wiedzieć coś niecoś o kulturze europejskiej.

Byłem na śniadaniu w poselstwie. Pan Warchałowski, sekretarz legacji, przyjął mnie bardzo uprzejmie. Zachwycił się „Pożoga” Kossak-Szczuckiej i „Na ustach grzechu” Magdaleny Samozwaniec. Mam nadzieję, że uda mi się dotrzeć w miejscowości oddalone, jakieś parę tysięcy kilometrów od kolei, gdzie nikt jeszcze o tych książkach nie słyszał. Będzie to prawdziwy triumf podróżnika.

Posel Jurystowski przed wyjazdem do Peru zachęcał mnie bardzo do wspólnego podróży. Na stosunki brazylijskie nie jest to daleko, bo tylko szesnaście dni drogi. Nie mam na to pieniędzy.

22 listopada.

Muzeum jest bardzo zajmujące. Indjanie mieli napewno więcej kultury od dzisiejszych potomków Portugalczyków zmieszanych z afrykańskimi Murzynami. Muzeum pełne jest broni, strojów, ozdób, łodzi i bożków indyjskich. Wszystko to wykonane w delikatnym i ciepłym materiale. Drzewo, słoma, skóry, pióra i trzcina. Ozdoby z piór papuzich grają wszystkimi kolorami tęczy. Owe sławne pióra na głowie, bez których nie wyobrażałem sobie Indjan, czytając Cooper, nie są wcale ciemne, jak to sobie przedstawiałem, lecz — wesołe: jasnozielone, żółte i błękitne. Fajka pokoiu nie jest wcale fajką; to dwoje pięknie nacynanych drewnianych szczyptów do przytrzymywania prymitywnie zwiniętego w kształt cygara listka tytoniu. Skalpy i zasuszone głowy wrogów czynią wrażenie zjaw mediumistycznych. Małe pomalowane głowy mają z tragicznie otwartych ust wypuszczony strumyk sznurków splecionych, spływających jak płazna zjawy. Ozdoby i wieniec z piór wiele mają wspólnego ze Słowiańszczyzną, którą maluje Stryjeńska. To samo da się powiedzieć o ornamentach nacynanych na drzewie — nad podziw przypominają góralczyńskie ze szkoły Karola Stryjeńskiego w Zakopanem. Mozaiki z paciorków niewiele się różnią od motywów egipskich — wrażenie to spotęgowane jest jeszcze tożsamością koloru, przeważnie jasno - niebieskiego, białego i żółtego. Kształty są w rezultacie wszędzie podobne, nawet na tak odległych obojętne sobie ładach, materiał jest inny — i to właśnie decyduje, stwarza bowiem styl i odrębność. Ten sam kształt wykonany z trzciny i z żelazo-betonu tworzy dwa najzupełniej obce zagadnienia.

Deszcz padał. Zmókłem wracając do domu.

23 listopada.

Niedziela. Zaziebiłem się wczoraj. Dzień cały miałem dreszcze. Boję się malarii, która jest dość częsta. Wziąłem dużą dawkę chininy i dzień cały nie wychodziłem z domu.

24 listopada.

Rano wstałem zdrow zupełnie. Wykąpałem się w morzu, co mi świetnie zrobiło. Dostałem depeszę, że Białicki przyjeżdża na „Hoediciu” 6 grudnia. Kupilem sobie za milreisa (pół złotego) „abacaxi”, czyli rodzaj ananasa. Jest to gatunek tak delikatny, że nie eksportuje się go do Europy. Jest znacznie większy od zwykłego ananasa, a smak tego złotego olbrzyma jest tak boski, że zjadłem, a raczej wypilem cały ten soczysty owoc jednym tchem, poczem błędnym wzrokiem rozglądałem się za lupanami, których tylko dla tego nie zjadłem, że je przedtem wyrzuciłem za okno.

25 listopada.

Zaczynają się znów piekielne upały. Pojechałem statkiem do Nickteroy na drugą stronę zatoki. Męka. Statek rozgrzany do czerwoności — duszny zaduch oliwy. Sadze na twarzy. Ławki tak gorące, że nieomal czuć zapach spalonego mięsa, a farba klei się i brudzi ubranie. Wynagodził mnie zachód. Piękny widok zatoki i chłodny, miły wiatr. Wieczorem kupilem sobie „abacaxi”. Zjadłem kawałek i wyszedłem na miasto, ale już ze schodów wróciłem szybkim, drapieżnym krokiem i dogryziłem do reszty. Wziąłemami chodzę do kina, a potem z p. Skolimowskim pijemy „laranjade” — w pustej i milej cukierni na Rio Branco.

26 listopada.

Byłem na Praia Vermelha. Piękna szeroka plaża, Taras, orkiestra. Parasole kolorowe i tłumy kąpiących się. Amerykanki z „Copacabana” i „Glorii” przyjeżdżają samochodami w kostiumach kąpielowych wprost nad samo morze. Przypomniał mi się film „Hollywood”. Zachód piękny: kula słońca mieni się jak gdyby była przezroczysta. Wygląda jak

banka mydlana, w której odbija się noc i księżyc.

Zjadłem dwa „abacaxi”.

27 listopada.

Listopad i grudzień są to miesiące deszczów. Niesety, znowu lał potworny deszcz przez całe popołudnie. Dostałem z poselstwa stare numery „Tygodnika” i tom „Emancypantek” Prusa. Piękna książka. Ach, pamiętam jeszcze z dzieciństwa panią Latter, Adę Solską, Norskiego i Madzię. Miła, czysta i dobra atmosfera bije z tej książki. Wszystkie przykazania boże i miłość macierzyńska do dorosłych złych i dobrych ludzi. Nie dziwię się, że była to podobno ulubiona książka Conrada, znajdował on tam bowiem ten sam niefałszowany, czysty, etyczny stosunek do świata, który cechuje każdą jego książkę. Wieczór spędziłem na mieście. Lubię bardzo takie włóczęgi po ulicach. Wszystko tu jest obce. Wystawy sklepów zarzucone owocami, których nazwy nie znam. Kobiety w Rio ubierają się barwnie i mają niezwykle kolorysty cery. Anemia spowodowana gorącym czyni ciało mleczno-białym. Rumieńce mają odcień ceglasty. Na ulicach nie widać się najpiękniejszych — wielkie piękności rżwińskie zobaczyć można czasem w automobili, na plaży, albo na dancingu w „Copacabanie”. Metyski o zielonych oczach, białych twarzach i czarno-kruczych włosach są najefektowniejszym produktem skrzyżowań rasowych. Wszędzie widzi się niezliczone ilości brylantów. Na witrach jubilerów palą się kamienie niewiarygodnej wielkości. Nawet najskromniejsza kobieta ma na palcu lub w uchu diament, akwamarynę, ametyst lub brylant.

28 listopada.

Burza na morzu. Z okna hotelu widzę potworne fale walące o bulwar. Woda przelewa się aż na sam środek szyn tramwajowych. Stan finansowy mojej kasy niepokoi mnie bardziej niż burza. Rio nie jest drogie — wydaje się jednak moc pieniędzy na drobności. Związka na komunikację. Miasto przystosowane jest do samochodów. Każdy tu ma auto albo jeździ wynajętym. Samochodów z taksemetrami są setki tysięcy. Gdy wychodzę na Praia do Flamengo, paru szoferów jeździ z czterech rogów i staje przede mną. Wogóle szoferzy walczą tu o pasażera i zachowują się kokietyrnie. Kiedy się idzie piechotą przez Praię, każdy wolny samochód zatrzymuje się, trąbi, szofer robi oko, uśmiecha się, przesyła całusa i krygując maszyną niby ucieka, aby stanąć na rogu i czekać z wyzywającą minką. Zjadłem dwa „abacaxi”.

29 listopada.

Nic.

30 listopada.

Rano kąpiel morska. Znowu zjadłem dwa „abacaxi”. Mój Boże, czy mi się uda wyrwać z pod władzy tych owoców. Dostałem list z Paryża. Szalone intrigi. Kramsztyk, Zak, Marcussis, Waldemar George. Małe, drobne sprawy. Zabawiło mnie to, że mnie aż w Rio znaleźli. Chodzi o rzeczy tak nieistotne, że stał, z oddalenia śmieszka. Malarze w Paryżu mają siłę przebojową i zapal godny żarzości. Drogi Leszek gdyby wiedział, że dostanie Nobla, jeśli napisze kartkę do Stockholm — słowami nie napisal.

Byłem w rodzaju „Magic-City”: zupełnie to samo co na przedmieściach Rzymu. Wielkiem powodzeniem cieszą się automaty, w które wrzuca się czterysta reisów i za naciśnięciem wyskakuje czekoladka za dwieście. Miasto było dziś nienajak zapach bananów, który tu panuje wszechwładnie. Bułki, masło, każda potrawa ma słodkawy zapach bananów; są one tak tanie, że dają je do jedzenia świnom, dzięki czemu jadą je codziennie (he, he, he).

W ogrodzie miejskim widziałem drzewa, które mają sam pień i kwiaty z pominięciem liści. Przypomina mi to moją karierę literacką, którą zrobiłem z pominięciem szkoły średniej i matury. Zjadłem jednego „abacaxi”.

1 grudnia.

Grudzień. Jestem już dwa miesiące poza krajem. Jeśli mi czegoś brak w tem kolorowym wspaniałym mieście, to odrobiny życia intelektualnego. Towarzystwo w moim hotelu nie jest interesujące. Koło mnie siedzi przy stole rodzina angielska. Maż podobny do Kiplinga, żona siwa, w binoklach, ma zegarek na złotym łańcuszku i brzydka córka. Królem towarzystwa jest wysoki, wspaniały Brazylijczyk z baczkami. Cały opięty w białe jedwabne ubranie, prawie elegancki, ale ma jednak na palcu pierścionek z trupa główką, trzymającą w zębach brylant pięć-karatowy.

Widziałem emigrantów na „Wyspie Kwiatów”. Chłopi polscy jadący do Parany i Żydzi zatrzymani w drodze do Buenos-Aires. Siedzieli na koszach i tobolach i pisali listy. Młodzi chłopcy i dziewczęta. Od czasu do czasu odrywali oczy i patrzyli przez okna na rozświetlone słońcem zatokę Rio — i znów schylił pisał o tem pewnie, że już przyjechali i że jak Bóg da, będzie dobrze.

Wieczorem rozmawiałem ze skończonym inżynierem. Przyszedł do mnie na werandę „Selecto” z triumfującą miną. Teraz już wie kim jestem. Ponieważ widział mój bilet wizytowy, gdzie było napisane, że jestem Polak i literat i ponieważ moje nazwisko zaczyna się na literę „S”, skończony inżynier i idiota domyślił się, że jestem Sienkiewiczem. Było to zbyt skomplikowane, aby tłumaczyć, że w Polsce jest dwóch pisarzy na tą samą literę. „Quo vadis?” bardzo mu się podobało — czytał je w przekładzie portugalskim. Powiedziałem mu, że to moja najslabsza książka.

Siedziałem długo na werandzie hotelu. Myślałem o przerażeniu o tem, że za parę miesięcy będę pewnie o tej porze szedł w deszcz przez Warszawę, albo siedział w dusznej knajpie. Pamiętam te wil-

gotne wieczory — słodkawy posmak ciastek jedzonych przed kolacją, niesmaczne papierosy i ciężkie, duszne palto. Tęskno mi trochę za Warszawą.

2 grudnia.

Zwiedziłem muzeum sztuk pięknych. Pozał się Boże. Same „Oryginały Nowickiej” i obrazy w rodzaju „Kościuszek skacze do Estery”. Obraz odznaczony wielkim złotym medalem przedstawia jakiegoś generała skaczącego z okrętu do morza, na brzegu Indjanie sprzedają skóry kaboklom, nieco wyżej parę misjonarzy z kropidłami, a w górze portret jakiegoś króla w otoczeniu wszystkich zmarłych prezydentów. Pozałem dużo pejzaży z Bretanii.



BOTAFOGO

3 grudnia.

Wycieczka na „Gavea”. Zmęczeni się piekielnie. Robotnicy naprawiający szosę zabili łopatomy wielką „jararacę”, piękną, stalowo lśniącą jadowitą żmiję. Chciałem wziąć skórę, ale była pocięta łopatomy. Sklepy w Rio wobec zbliżających się świąt pełne są zabawek i prezentów gwiazdkowych. Widziałem na witrach drewnka pinjorów imitujące choinki przyproszone wata. Zabawnie to wygląda przy trzydziestu stopniach gorąca w cieniu.

4 grudnia.

Znowu deszcz. Siedziałem w domu. Pisałem nowelkę p. t. „Koncert”. Czytałem ją wieczorem, ale zdaje się nic nie warta.

Kupiłem „abacaxi”, zjadłem połowę, a resztę wyrzuciłem przez okno. Nie mogę patrzeć na to świństwo.

5 grudnia.

Zwiedziłem targ murzyński. Ogromnie zabawne. Przypomina „Chatę wujka Toma”. Sprzedają tam małpki po parę złotych. Piękne napuszone papugi. Kupiłbym chętnie, ale to straszny kłopot wieść do Europy. Spotkałem p. Posadasa, pasażera z „Lipari”; bardzośmy się ucieszyli sobą, ale niewiele było do mówienia. Skończyło się na paru cocktailach.

6 grudnia.

Ranitko wyjechałem statkiem na wyspę Paqueta. Dwie godziny morzem. Wyspa Robinsona Kruze. Orzechy kokosowe leżą na piasku nad morzem. Palmy i tłumy małych Murzynków. Na wyspie jest parę typowych ferm kolonialnych. Wielkie wozy zaprzężone w leniwe muły, poganiane przez leniwych Murzynów. Na werandzie fermy siedzą biali ludzie. Pan, pani, troje dzieci. Jedzą pod wieczorek. Cienistymi drogami zwożą

CORCOVADO
zdjęcie Antoniego Słonimskiego

Murzyni wielkie jak dynia gąbczaste owoce. Znoszą w słomianych koszach złote kolczaste ananasy i gałęzie bananów. W najlepszej restauracji ko'o przystani piłem lemonjadę koloru czerwonych karmelków — taką lemonjadę, jaką pije się w sklepie u nas na letnisku, — pachnącą landrynkami i korciem. Pod wieczór, kiedy wracałem, upał był już mniejszy. Słońce chowało się za czekoladowe chmury. Zatoka rozświetlona lampami wybrzeża. Gdyśmy już przypłynęli, spłynęła noc ożre-wiająca — niebieska, pełna gwiazd. Gdzieś nad górami zebrały się chmury rozrywane błyskami cichej burzy elektrycznej.

7 grudnia.

Niedziela. Przed kościołem na Botofogo tłumy pobożnych Murzynów. Widziałem też księdza Murzyną; uważam to

już za przesadę. Wieczorem spadł deszcz tropikalny tak szalony, że tramwaj, w którym siedzieliśmy z p. Skolimowskim, stanął w środku nagle utworzonego na środku ulicy jeziora, nie mogąc przez cztery godziny ruszyć się z miejsca. O wyjściu nie było mowy; właściwie mówiło się o tem dużo, ale nikt się nie odważył! Dopiero koło ósmej wróciłem zmordowany do domu.

8 grudnia.

O siódmej rano byłem już na przystani, czekając na „Hoedica”, który miał przywieźć Stasia. Zabawne to jest uczucie, kiedy się widzi na horyzoncie mały punkcik okrętu, małą szarą plamkę, w której wśród setek obcych ludzi jest ktoś,

na kogo się długo czeka. Okręt powoli przybliżył się, i wśród pasażerów zebranych na górnym pokładzie dostrzegłem Białickiego, który machał kapeluszem, chustką, rękami i nogami jednocześnie. Jak i ja przed miesiącem, zęgnął się z pasażerami, kręcił się po pokładzie, pilnując bagażu. Objąłem wdzięczną rolę przewodnika i z lokalnym patriotyzmem, który wytworzyło parę tygodni pobytu w Rio, starałem się oszłomić i oślnić go pięknnością miasta. Pomagał mi w tem słońce, słoneczny i niezbyt gorący dzień. Prosto z hotelu pojechalśmy do ogrodu botanicznego. Popołudnie spędziłem na Leme, gdzie chodząc po plaży w złotym ciemnym zachodzie słońca, gadałymi bez przerwy o małych warszawskich ploteczkach.

9 grudnia.

Rano poczęstowałem Stasia kawalkiem „abacaxi”, a resztę zamknąłem w szafie. Kręcił się niespokojnie po pokoju. Kiedy wyszedłem na chwilę i wróciłem, zastałem go majdrującego szczyrkiem przy zamkniętej szafie. Szał „abacaxi” uderzył mu się z równą i mnie namietnością. Dalem mu cały owoc, który porwał do swego pokoju, skąd przez pół godziny nie mogłem go wywołać. Po południu zwiedziliśmy Pão a Çucar. Widok był jakby jeszcze rozleglejszy dzięki czystej pogodzie. Wieczorem byliśmy na obiedzie w poselstwie polskim. W gabinecie, siedząc na wygodnych fotelach, pijąc kawę i koniak, rozmawialiśmy długo. Przez otwarte okna zaglądały liście palm i świeciła się tropikalna księżycowa noc.

10 grudnia.

Wycieczka na Corcovado. Potężny szczyt górski, wystrzelający z morza na siedemset metrów. Droga na Corcovado jest brawurowym atakiem w morze zieleności. Płynęliśmy wagonikiem górskiej kolejki nad szczytami rozczapierzonych

Chiljastyczne tendencje w sztuce Z okazji „Jana Karola Macieja Wścieklicy”

Najbardziej szczerem, z duszą poczętem wołaniem bohatera—porucznika-prezydenta w dramacie St. I. Witkiewicza jest kilkakrotnie powtórzony okrzyk: „O, gdyby to było tysiąc lat temu!” Wykrzyknik ten wyraża zarazem ostateczne znudzenie dzisiejszością. Wydaje mi się, że określa on dobitnie i teatralnie stanowisko autora. Jest to ucieczka przed dzisiejszością, ale ucieczka w przeszłość. Okragły tysiąc lat, stanowiący zapórę dla monarchistycznych pożądań piosłaprezydenta, należałoby naturalnie zmniejszyć do lat, powiedzmy, stu—może mniej.

Co ma do tego tragedia Witkiewicza? Jeżeli odłożymy na bok na chwilę — „czystą formę”, to bardzo szanowany wiek tego, co pozostało (znowu nie tysiąc lat, ale, przypuśćmy, setka) z dramatu na scenie, nie ulega wątpliwości. Mówię o charakterze „konfliktu” dramatycznego. Jak pięknie wyglądałby on w ramach dramatu pseudo-klasycznego: bohater i widz, znudzony własną władzą i znaczeniem, uporczywie broni przed wysłaniami narodu i obywatelstwa bark swych przed brzemieniem rzadu, którym tamci, nie mając nic lepszego do roboty, chcą go obarczyć. Bo Wścieklica jest rzeczywistym ostatnim indywidualistą. Czasy dzisiejsze nie pozwalają rozkwitać wielkim indywidualnościom — jest to może niepoetyczne, ale tak jest. I nie sądzę, aby to było wynikiem jakiegos zubożenia.

Wielka indywidualność polityka i woźdza dopiero wtedy staje w całym blasku, kiedy ma możliwość zbierania owoców pracy innych. Potęgą indywidualności uderza wyobraźnię powszechną nie wtedy, gdy pracuje na korzyść społeczeństwa — płaci się za to z dawnowym dosyć podziwem, ale wtedy gdy objawia się w samowolnych kaprysach, które są luksem życia osobniczego. Gdyby Napoleon ostrożnie i z rozważą użytywał początkowo swoje zwycięstwa na korzyść Francji, niewątpliwie przyniosłyby mu wielkość, ale nie opanowałby w tak wielkim stopniu wyobraźnię ludzką. Najkolosalniejszym dziełem Napoleona w oczach szerokiej publiczności (i poetów) był jego upadek, spowodowany przez szaleństwo i kaprysy. Zasłonił on nawet sobą upadek Francji spowodowany przez wielkiego indywidualistę.

Utylitarne społeczeństwo dzisiejsze nauczyło się zużytkowywać swoje indywidualności — uregulowało ich eksploatację niejako. Rezerwa wielkich ludzi są dzisiaj partje. W miarę potrzeby kilka tygodni intensywniejszej kampanii prasowej tworzy z jednego z posrów kilkudziesięciu wybitnych polityków „wielkiego człowieka” ze wszystkimi niezbędnymi zaletami („opatrność”, „zaufanie narodu, wiara mas i t. d.). Po- czem, gdy wielki maś zrobił swoje, a przez naturalną ułomność ludzką zaczyna wywyższać swą władzę i staje się dokuczliwym, — nowa kampania prasowa w ciągu kilku tygodni „zmniejsza” go do dawnych rozmiarów. W ten sposób wywyższyć się wielkich ludzi z małym ryzykiem dla społeczeństwa. Rozwiodłem się nad powyższymi zagadnieniami, umyślnie, aby podkreślić miłą archaizację koncepcji indywidualizmu u Witkiewicza. (Przynajmniej w zasadniczej linii — pozatem jest ona dość zamącona z racji zasadniczego poglądu Witkiewicza na dzisiejsze społeczeństwo.)

Zostaje jednak „czysta forma”. Muszę zaznaczyć, że wydaje mi się ona pojęciem dość symplastycznym, pomimo efektownej dekoracji metafizycznej, w jakiej pojawia się ona u autora. Uzasadniając taką opinię używam przez Witkiewicza tak prymitywne obrazowe powiedzenia, jak np. ostatnio w charakterystyce nastawień kompozycyjnych Micińskiego: „nadmawianie starej formy nowym farszem” i t. p.

Zawsze budziła we mnie nieufność obrona bezsensu w sztuce w bardzo sensownych i solidnych artykułach i książkach. Mam wrażenie, że idzie tu o co innego: a mianowicie o przewlekły katzenjammer artystyczny tego talentowanego malarza, dramaturga i teoretyka sztuki. Nie mogąc tutaj wdawać się w szczegółowy rozbiór teorii autora „Wścieklicy”, ograniczę się do ogólnikowej charakterystyki podłoża ideowego, na którym, jak mi się zdaje, zrodziły się te poglądy (można je odnieść do wielu współczesnych artystów i teoretyków sztuki).

Wrażliwość Witkiewicza, niezmiernie chłonna i ruchliwa, obejmuje zbyt szeroką skalę różnorodnych odczuwań i przymysłów z zakresu dawnej sztuki, aby to nie odbiło się na jego właściwościach twórczych. Witkiewicz jest typowym okadem nadużytkiem estetycznego. Stąd ów stan zbliżowania, który według Witkiewicza leży u podstawy nowoczesnych odczuwań artystycznych. Niedarmo w jego teorii sztuki tyle mówi się o narkotykach w analogii do tych odczuwań. Za tem idzie konieczność powiększania dawek morfiny — konieczność perwersji w sztuce. Idzie nieubłagana walka z „bebechowością”.

I tu natykamy się na prawdziwą „tragedję bez trupów”, nie tylko Wit-

kiewicza zresztą. Naturalizm, przez trwając od lat kilkudziesięciu (a bynajmniej nie przerwane zupełnie do dziś dnia) sumienne, a często powtarzane, fotografowanie zewnętrznej powłoki życia, obrzydził ją rzetelnie artystom i zdezorientował publiczność. Często powtarzanie „naturalnych” uczuć i namiętności sponosiłowało doszczętnie ich wyraz. Stąd deformacja. Ale deformacja jest we Wścieklicy właściwie stylizacją — maskowaniem obmierzłego kształtu rzeczywistości. Dramat naturalistyczny przyzwyczaił nas do tych miejsc w sztuce, kiedy to właściwie na scenie nic ważnego się nie dzieje. Odbija się „życie”. Ludzie chodzą, mówią o pogodzie, jedzą, śpią, kochają, reżonują, kichają, życzą sobie pomyślności — słowem, „markują” życie w oczekiwaniu dalszych wypadków. Komedjopisarze radzą sobie w takich miejscach martwych dowcipami gorszymi lub lepszymi. W dramacie to nie zawsze wypada — zresztą nie każdemu Bóg dał dowcip. Takim markowaniem akcji jest we „Wścieklicy” nic nie znaczący dialog filozoficzny. Jest to niby wykropkowanie miejsc niewygodnych dla autora. Nie można mu mieć tego za złe — gorzej jest, że to wykropkowanie nie tworzy nowego teatru. Zaledwie wyznacza martwe punkty starego.

Jan Maciej Karol Wścieklica, chłop niewątpliwie nieautentyczny, wywlokł na deski sceniczne wewnętrzne nieporozumienie, istniejące w duszy Stanisława Ignacego Witkiewicza — reformatora sztuki. Jest nim wewnętrzna przynależność do sztuki starej. Uwydatniło się to, dzięki zbliżeniu się „Wścieklicy” do „normalności”. To wyjaśnia dobre przyjęcie sztuki u ogółu recenzentów. Miły zapach dawności, wycieczki ze sceny, w pewnych momentach dawał wrażenie, tak miłe każdemu postępowcowi (również swoista perwersja): postęp przez łagodne cofanie się w tył.

Uważa się Witkiewicza za reformatora sztuki, a szczególnie teatru (przynajmniej za jednego z tych, którzy mają plan reformy). Nic niesłuszniejszego. Beznadziejny pesymizm jego wyrzeczony o przyszłości sztuki nie ma w sobie nic z reformatorstwa. Warto poprzecz powiedzieć twierdzenie małą cytata, która jednocześnie potwierdzi niejedno wyżej powiedziane:

„W całym odrodzeniu czystej formy znać jednak gorączkowy pospiech wyzerpania wszystkich środków. Element pospiechu i gorączki jest tym pierwsiem rozkładowym, potęgającym zbłązanie i u twórców i u widzów i słuchaczy, tem, co czyni, że odrodzenie czystej formy jest też prawdopodobnie ostatnim jej przedśmiertnym kurczem. Chodzi o to, aby te podrygi były szczerze i należycie teoretyzowane — pozatem, według nas, żadne wysiłki tego procesu upadku wstrzymać nie zdołają”. („Skamander”, VII — VIII — IX).

Podobnych wyrzeczonych znajduje się więcej. Może to i jest reformatorstwo sztuki, ale w takim razie chiljastym, wieszczący koniec świata w najbliższym czasie, jest reformatorem społeczeństwa.

„Chodzi o to, aby te podrygi były szczerze i należycie teoretyzowane”. Radzimy troskliwie konającemu, aby wziął parę lekcji gimnastyki rytmicznej, gdyż to pozwoli mu uregulować jego przedśmiertne drgawki. Czy aby warto? Jeśli mu już wypadło konać, niechże sobie drga jak umie. Cóż to jednak za osobliwy umysł, tak wnikliwie kwestionujący szczerotę nawet ostatnich podrygów konania! Niechże się schowają przed Witkiewiczem z rumieńcem wstydu na czole krytycy — wpływowolowie, prokuratorzy i lekarze — psychiatry, podejrzewający szczerotę poetów lirycznych, przestępców i chorych. Oto nowa dziedzina autentycznej ekspertyzy!

Tu należałoby może zakończyć tych kilka skromnych, a nieco nieporządnie wyłożonych uwag, które mi „Jan Maciej Karol Wścieklica” nasunął o swoim twórcy. Nie wspominałem jednak o najważniejszym, bez czego oblicze St. I. Witkiewicza zawsze musi się wydać zagadkowe. Są pewne słowa przez długie a szczególne nadużycie wypaproszone z wszelkiego sensu. Pomimo to, gdybym miał określić jednym słowem najistotniejsze nastawienia duchowe tego artysty, powiedziałbym: „dekadencja”, szczerza, świadoma, literalna dekadencja. Ale dodałbym zaraz, że jest to dekadencja zirytowana własnym zdrowiem. Z poza wszelkich perwersji artystycznych autora „Wścieklicy” widać bowiem dużo zwyczajnego, ordynarnego zdrowia, które, zresztą mimowoli, rzuci na owe perwersje światło bardzo niepewne — rzekłbym nawet — nieco mistyfikacyjne. Przed przyjęciem w całości tego przypuszczenia broni Witkiewicza inna jego właściwość — pozorne paradoksalna. Bardzo wiele pierwotnej naiwności artysty jest w tym teoretyku-chiljastie na schyłku pierwszego ćwierćwiecza XX w., z rzetelną pasją, z rozpaczliwą zaciekłością przekory wieszczącej absolutny upadek sztuki i niezbitą konieczność pięknej śmierci.

Dzieje projektu prawa autorskiego.

Rada ministrów dn. 24 stycznia b. r. przyjęła projekt ustawy o prawie autorskim i przesłała go sejmowi, który w połowie marca przekazał sprawę w pierwszym czytaniu komisji oświatowej i prawnej. Komisja oświatowa powierzyła referat posłowi Langierowi, który dał już dowody swej szlachetności dla postulatów literatów podczas narad nad utworzeniem funduszu narodowego dla literatów. Sprawa wejdzie na porządek dzienny obrad komisji prawdopodobnie wkrótce po ferjach wielkanocnych. Przewodniczący komisji poseł Soltyk w zasadzie odniósł się przychylnie do próby zarządu związku zawodowego literatów, aby przedstawiciele związku mogli uczestniczyć w rozprawach komisji w charakterze rzeczoznawców. Mamy zapewnioną możliwość uczestniczenia w obradach nad prawem autorskim, musimy więc przedewszystkiem poznać. Tekst ustawy jest do nabycia w kancelarii sejmowej, dla ogółu zaś literatów przedstawimy na tem miejscu w krótkim zarysie dzieje tego projektu, treść najważniejszych artykułów, przypominając jednocześnie, że łącznie z prawem autorskim należy traktować omawiany na wiosnę 1924 r. projekt utworzenia funduszu narodowego dla literatów. Dyskusja na ten temat jest niesłychanie pożądana i może znacznie ułatwić pracę delegatów związku.

Pierwszy poruszył sprawę skodyfikowania prawa autorskiego prof. Parczewski w listopadzie 1919 r. Przystąpienie Polski do konwencji berneńskiej (28 stycznia 1920 r.) skłoniło ministerstwo sztuki i kultury, a także komisję kodyfikacyjną do zajęcia się tą sprawą. Referat projektu prawa autorskiego powierzone prof. R. Zolliowi, na koreferenta wyznaczono p. J. J. Litauera. W jesieni 1920 r. ukazało się „Prawo autorskie w projekcie prof. Zolla”, a w 1921 r. koreferent p. Litauer wydał swoje uwagi nad tym projektem. Autorowie uwzględnieli postulaty zjazdu literatów polskich z 1920 r., wyniki ankiety i zaprzyntowania rzeczoznawcy Z. Przemyskiego. Sekcja prawa cywilnego komisji kodyfikacyjnej przyjęła projekt prof. Zolla za podstawę do dyskusji, uwzględniając również w swych obradach uchwały zainteresowanych instytucji i uwagi grona uczonych. Po przejściu przez alambik subkomitetów, komitetów i sekcji, projekt został wreszcie przyjęty przez komisję kodyfikacyjną i przesłany ministerstwu sprawiedliwości, a stamtąd — ze zmianami i uzupełnieniami — przeszedł do rady ministrów.

Obecnie dopłynął szczęśliwie do portu sejmowej komisji oświatowej.

Przedmiot prawa autorskiego.

Rozdział I mówi o przedmiocie prawa autorskiego. Projekt komisji kodyfikacyjnej dawał definicję przedmiotów prawa autorskiego. Ministerstwo sprawiedliwości, wychodząc z założenia, że ścisła definicja jest niemożliwa, i wzorując się na ustawach autorskich austriackiej, niemieckiej, rosyjskiej, oraz na umowie berneńskiej, zmieniło ten artykuł projektu, zastępując definicję przedmiotów prawa autorskiego ich wyliczeniem. Wyszczególnia się więc książki, broszury, czasopisma, utwory dramatyczne, choreograficzne i pantomimiczne, utwory kinematograficzne, rysunki, plany, mapy i wszelkie ryciny, wykłady i przemówienia, dzieła sztuki muzycznej, malowidła i wytwory sztuki graficznej, dzieła rzeźbiarstwa, wszelkie dzieła sztuki plastycznej, budownictwa i wytwory przemysłu artystycznego. Prócz tego przeróbki cudzych utworów (przekłady, przystosowania, przeróbki na film), ale w tych razach konieczne jest uzyskanie pozwolenia od twórcy oryginału. Prawo autorskie stosuje się także do utworów fotograficznych, ale pod warunkiem wyraźnego zastrzeżenia na odbitkach. Wszelkie ustawy, rozporządzenia i t. d. oraz informacje dziennikarskie wyjęte są z pod prawa autorskiego.

Prawo autorskie należy do twórcy dzieła. Wydawcom zbiorów pieśni ludowych, przysłów, bajek prawo to przysługuje, jeśli opracowanie wydawnicze ma cechy twórczości. Do dzieł zbiorowych (encyklopedie, roczniki) i czasopism, jako całości, prawo służy wydawcy; do poszczególnych części przysługują autorom, lecz z pewnymi ograniczeniami. Do dzieł wspólnych a nierozłącznych (powieści, dramat) stosuje się przepisy o współwłasności. Do filmu, fotografii lub przeróbki utworu muzycznego na instrumenty prawo służy przedsiębiorcy, albo zamawiającemu, jeśli dzieło było zamówione. Dziełem rozporządza wyłącznie twórca i on tylko rozstrzyga, czy dzieło ma się ukazać i jak ma być odtworzone.

Ograniczenie praw autorskich.

Ograniczenia praw autorskich co do dzieł literackich, muzycznych i rysunkowych omawia rozdział drugi. Wolno więc przedrukowywać artykuły dziennikarskie, ale nie literackie czy naukowe; mowy publiczne — co nie uprawnia jednak do wydania czyichś mów; wolno przytaczać cytaty i wyjątki, ustępy kompozycji muzycznych, podawać streszczenia, a za zgodą autora rozpowszechniać dzieła przez odnajmowanie egzemplarzy, wykłady i recytacje. Wolno utworzyć sceniczny wystaw, lecz nie w teatrze i nie dla zysku. Wolno dalej w zakresie utworów malarskich, rzeźbiarskich i t. p. wystawiać je publicznie,

lecz nie w celach zysku, umieszczać reprodukcje utworów wydanych lub wystawionych, kopiować w świątyniach i muzeach, stosując się do właściwych przepisów; odtwarzać dzieła sztuki umieszczone na ulicach i placach publicznych, lecz nie w tych samych rozmiarach i nie dla tego samego użytku. Wolno wreszcie odtwarzać w rzeźbie utwory malarskie i naodwrot, oraz budować według wydanych wzorów, jeśli nie istnieje co do tego zastrzeżenie autora. Wszystkie jednak wymienione zapożyczenia dozwolone są jedynie pod warunkiem podania źródła, wymienienia autora i niewprowadzania zmian do zapożyczonego tekstu. Każdemu wolno odtworzyć cudzy utwór dla użytku prywatnego. Na wykonywanie portretów nie potrzeba specjalnego zezwolenia, jeśli chodzi o wizerunki osób powszechnie znanych, lub jeśli wizerunek jest tylko szczegółem większej całości. Co do listów specjalny artykuł nakazuje uzyskanie zezwolenia adresata, a po jego śmierci w ciągu lat 30 zezwolenia jego spadkobierców.

Czas trwania prawa autorskiego.

Prawo autorskie względem utworów wydanych i t. zw. pośmiertnych wygasa w 50 lat po śmierci autora. Przy dziełach wspólnych termin wygaśnięcia ustala się od daty śmierci ostatniego z autorów. Prawo autorskie przedłuża się o 10 lat dla tych utworów, które po śmierci autora zostały wydane w ostatnim dziesięcioleciu tego pięćdziesięcioletniego okresu. Dla fotografii obowiązuje termin 10 lat, dla zdjęć artystycznych lub naukowych — 50 lat, dla filmów i przeróbek utworów muzycznych na przyrządy mechaniczne — 20 lat.

Wbrew woli autora jego prawo autorskie nie może być przedmiotem egzekucji z powodu roszczeń pieniężnych. Twórca może swe prawo przenosić na inne osoby. W razie jego śmierci, jeśli nie zostawił ostatniej woli, prawo autorskie przechodzi na spadkobierców, ale i wówczas nie może być przedmiotem egzekucji, wbrew woli dziedziców, jeśli dzieło nie było wydane i o ile niema co do tego wskazówek twórcy. Natomiast prawa autorskie do utworów fotograficznych, kinematograficznych i przeróbek muzycznych mogą być przedmiotem egzekucji. Wszelkie przyrządy, jak stereotypy, kamienie, płyty, podlegają również ochronie prawa autorskiego.

Prawa i obowiązki stron oceniać należy według umowy i dopiero jeśli w niej niema wskazówek, według ustawy. Twórca nie traci prawa autorskiego, sprzecząc dzieło sztuki, nabywca jednak nie ma obowiązku dopuszczania twórcy do kopjowania lub wystawiania dzieła. Przeniesienie prawa autorskiego na kogo innego nie odbiera twórcy jego praw osobistych i zależnych, np. zezwalania na przeróbki, przekłady, sfilmowanie i t. d. Nabywca zaś prawa autorskiego nie może czynić w utworze dowolnych zmian. Jeśli autor zobowiązał się wobec jakiejś firmy pracować dla niej stale, lub na czas ponad lat 5, każda ze stron po 4 latach może wypowiedzieć umowę. Różne nieprzewidziane zdarzenia mogą rozwiązać każdą inną umowę, co nie uchyla roszczeń o odszkodowanie.

Fundusz narodowy dla literatów.

Łącznie ze sprawą wygasania praw autorskich po upływie 50 lat od śmierci twórcy traktować trzeba projekt utworzenia specjalnego funduszu narodowego dla literatów. Inicjatywa ta powstała poza komisją kodyfikacyjną i nie ma swego wyrazu w projekcie prawa autorskiego. O ile pamiętam, w maju ub. r. sprawa funduszu była szczegółowo omawiana na walnym zebraniu związku zawodowego literatów, zyskała życzliwe poparcie posła Langera i odbiła się dość głośnym echem w prasie. Najobszerniej wypowiedział się w tej sprawie redaktor Krzyżowski w „Świecie”. Nadchodzi teraz chwila zrealizowania tego zezwenniar szczęśliwego pomysłu.

Według ustawy prawo autorskie wy-



„AMERYKA — POLSKA”

NUMER MARCOWY ZAWIERA:

Vade-mecum. — Fr. Cancliff-Owen: Prezydent Wojciechowski. — Al. Laczynski: Władysław Grabski. — A. Parker: Ładowanie z przymusu. — T. Z. S.: Rekord nad rekordami. — J. Jakóbkiewicz: U źródeł potęgi japońskiej. — J. Wojciechowski: Amerykańskie badania kwalifikacji pracowników biurowych. — T. Zuk-Skarszewski: Wódz milionów rzesz robotniczych. — E. C. Gray: Ideal wiecznej młodości. — J. Jakóbkiewicz: Polacy w Brazylii. — Z. Kalinowski: Moja podróż do Ameryki. — M. B. Young: Działalność angielskich i amerykańskich przyjaźni w Polsce. — E. B. Parker: Piętnaście przykazań biznesu amerykańskiego. — St. Centkiewicz: Ukształcenie obywateli. — M. H. Szpyrkówna: Prorok z puszczy. — A. Mikulski: Harry B. Thayer. — C. Łoziński: Marnotrawstwo w przemyśle.

ŻADAJCIE WSZĘDZIE

Cena zeszytu zł. 2.50

Ważna sprawa dla literatów Prawo autorskie na wokandzie sejmu

Przyjazd wybitnego działacza

G. S. Arundale w Warszawie

Warszawa gości w tym tygodniu jednego z najgorliwszych pracowników oświatowych i kulturalnych, bożyszcze młodych Indji, G. S. Arundale'a. Zasłużony w ojczyźnie szeregiem wybitnych prac pedagogicznych, w r. 1903 został powołany do Benares do „Central Hindu College”, gdzie wkrótce objął stanowisko kierownika.

Pelen twórczej inicjatywy i samoza-

parcia, płomienny mówca, niestrudzony

działacz, — ujął wkrótce najwybitniej-

szsze umysły w Indjach nie tylko w sferze

swego zawodu, lecz i na niwie po-

litycznej i społecznej państwa. W ten

sposób odegrał nieposłednią rolę w u-

kładzie stosunków politycznych Indji,

wywierając wpływ na uspokojenie umy-

śłów i wzmożenie twórczej pracy w o-

kręsie najgorętszych waśni politycznych.

Umowa o nakład.

Nakładca, który nabył prawo wydania utworu, nie może bez zgody twórcy praw tych przenosić na osoby trzecie. Niedotrzymanie, mimo napomnienia, terminów przewidzianych w umowie wydawniczej upoważnia każdą ze stron do zerwania umowy. Jeśli przed upływem 6 miesięcy od dostarczenia mu dzieła wydawca rozmyślił się, może dzieło zwrócić, musi jednak uścić umówione wynagrodzenie. Przed każdym nowym wydaniem autor ma zastrzeżone prawo poczynienia zmian w utworze. Jeśli umowa nie ustala terminu płatności, wynagrodzenie płatne jest przy oddaniu dzieła nakładcy. Przy honorarium procentowym od całego nakładu procent oblicza się od ceny sprzedanej egzemplarza, a należność jest płatna po ukończeniu druku. Jeśli wynagrodzenie zależy od liczby sprzedanych egzemplarzy, wydawca co 3 miesiące przedstawia autorowi rachunki, nie wzbraniając mu kontroli ksiąg i rachunków. Na żądanie autora wydawca powinien mu przesyłać korekty. Twórca należy się bezpłatnie po jednym egzemplarzu od każdej setki, jednak najwyżej 100 egzemplarzy. W dziełach zbiorowych odbitka artykułu zastępuje egzemplarz, co nie dotyczy jednak czasopism. Nadwyżka egzemplarzy, które wydawca ma prawo bić, jest ściśle oznaczona, a autorowi przysługujące prawo sprawdzania w drukarni i wejrzania w księgi. Bez zgody autora nie można podnieść ceny książki, a od podwyżki należy się twórcy procent za pozostałe w handlu egzemplarze. Nowe wydanie może nastąpić natychmiast po rozprzedaniu poprzedniego lub bez względu na to po 5 latach od ukazania się poprzedniego. Wyjątek stanowią podręczniki i dzieła naukowe, dla których jest termin dziesięciolecia.

Przedsiębiorca, wystawiający dzieło muzyczne, nie może tekstu pieśni i libretta wprowadzać w obieg księgarski i może je sprzedawać tylko publiczności, która przybywa na przedstawienie. Różną nieodpowiednie wystawienie utworu upoważnia autora do zerwania umowy.

Ochrona prawna.

Odpowiednie przepisy przewidują dla twórcy wynagrodzenie wszelkiej szkody, wynikłej z powodu naruszenia praw autorskich. Bezwzględnie sporządzone egzemplarze, klisze, płyty i t. p. mogą być na wniosek pokrzywdzonego przysądzone mu na poczet roszczeń pieniężnych, lub zastawione u właściciela w stanie niezdatnym do użytku. Niszcząc jednak dzieło sztuki nie wolno, tak samo jak wstrzymać rozpoczętą budowę, gdy chodzi o dzieło z zakresu budownictwa. Nakładca, który bije większą ponad umówioną liczbę egzemplarzy, ulega karze grzywny do 500.000 złotych, lub więzienia od 1 miesiąca do 2 lat, albo obu karom łącznie. Usiłowanie jest w tym wypadku karalne narówni z czynem dokonanym.

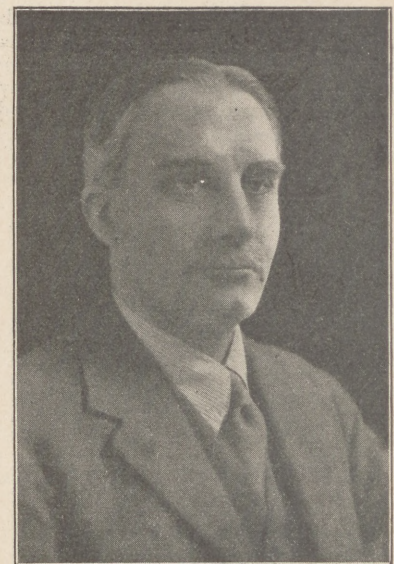
Twórca pokrzywdzony w zakresie osobistego stosunku do dzieła może żądać zaniechania czynów krzywdzących, usunięcia ich skutków, zadośćuczynienia i odszkodowania pieniężnego.

Do takich krzywd zalicza się przywłaszczenie autorstwa, cytowanie bez podania źródła lub autora, lub podanie fałszywie, ogłaszanie dzieła nieprzeznaczonego do publikacji, wprowadzanie zmian, paczących treść, lub obniżających wartość dzieła i t. d.

Wskazanie w prawa twórcy pociąga za sobą karę grzywny do 10.000 złotych lub aresztu od 1 tygodnia do 6 miesięcy. Za przywłaszczenie sobie cudzego autorstwa grozi taka sama grzywna, lecz areszt dłuższy — od 1 miesiąca do 1 roku. O karze za drukowanie nadliczbowych egzemplarzy wspominałem już powyżej, wdrożenie postępowania w tym wypadku nie może jednak nastąpić, jeśli od popełnienia przestępstwa minęło już 5 lat, a jeśli minęło lat 10, nie może być wyroku skazującego. Przedawnienie w razie wkrócenia w wyłączenie prawa twórcy lub przywłaszczenia sobie cudzego autorstwa następuje po 3 latach, a po 6 latach nie można wydać wyroku skazującego. Skargi muszą być wnieszone w ciągu 6 miesięcy od chwili dowiedzenia się przez poszkodowanego o popełnieniu przestępstwa. Ustawa niniejsza stosuje się także do praw autorskich istniejących w chwili jej ogłoszenia, a wykonanie ustawy powierzono jest ministrowi oświecenia i ministrowi sprawiedliwości.

Ograniczając się chwilowo do tego suchego streszczenia prawa autorskiego, zwracam się do ogółu literatów z prośbą o wypowiedzenie się na ten temat, przyczem sam zastrzegam sobie prawo głosu w dyskusji.

Stanisław Czosnowski.



G. S. ARUNDALE

Jako radca oświatowy przy dworze maharadzy Halkara w Indora (południe Indji), zdołał pokryć Indie siecią szkół początkowych i średnich, same zas „Central Hindu College” zamienił na pierwszy uniwersytet hinduski. Działalność Arundale'a nie ogranicza się jednak tylko do jego przybranej ojczyzny. Jest pożytecznym i cenionym pracownikiem „Educational International Trust” w Londynie, a organizacja młodzieży, grupująca się w „Labour Party”, liczy się niezmiernie z jego popularnym nazwiskiem. Jako Anglik jest jednym z najsłabszych ogniw, zespajających interesy Anglii z pomyślnością Indji. Aczkolwiek z Gandhim nie łączy go jednomyślność poglądów na szereg aktualnych zagadnień politycznych, cieszy się, dzięki swemu umiarkowaniu, taktowi i mądrości, głęboką sympatią wśród najszerszych warstw hinduskich. Jako dowód tego posłużyć może książka, którą „Central Hindu College” zbiorowo wydało dla wyrażenia hołdu człowiekowi i pracownikowi najpopularniejszej może dzisiaj placówki oświatowej w Indjach. Książka ta („Arundale, his Life and Work”), objętością przeszło 300 stron druku, zawiera materiał, dotyczący działalności i poglądów politycznych, spo-



PANI G. S. ARUNDALE

łecznych, religijnych, oświatowych Arundale'a, aż do najdrobniejszych szczegółów, związanych w jakikolwiek sposób z jego osobą.

W r. 1923 Arundale delegowany został przez maharadę Halkara do Europy w celu zapoznania się z naszymi systemami i ideami w dziedzinie wychowania. W Polsce zabawi kilka dni w celu nawiązania ścisłego kontaktu z organizacjami młodzieży i dla powiązania naszych wysiłków na polu oświatowym z rezultatami osiągniętymi na Zachodzie.

W szeregu książek i artykułów łączy szerokość światopoglądu filozoficznego z nawoływaniem do wewnętrznej pracy w imię religijnego kultu człowieka.

BIAŁORUŚ

POEZJE

LEONARDA PODHORSKIEGO-OKOŁOWA

Cena zł. 1.20

Wszystkie książki zrecenzowane, omówione i wymienione w „Wiadomościach Literackich”, czy to w dziale sprawozdawczym czy bibliograficznym, MOŻNA NABYĆ w KSIĘGARNI.

F. HOESICKA, Senatorska 22, tel. 10-68

Z CAŁEGO ŚWIATA

POLSKI MAGAZYN ILUSTROWANY

WYDAWNICTWO BIBLIOTEKI DZIEŁ WYBOROWYCH WARSZAWA, SIENKIEWICZA 12

Cena numeru tylko zł. 1.80

Z CAŁEGO ŚWIATA



Nr. 3

J. KWIETNIEWSKI: Ikona grafia Warszawy. — A. OSSENDOWSKI: Uliczka El-Saussi-Khab. Z wrażeń podróżnika po Afryce. — Od nagości do odzieży współczesnej. — ST. DZIKOWSKI: Rendez-vous w mieście i na wsi. — W krainie Smoka. — K. MAKUSZYŃSKI: O czym się nie śniło filozofom. — M. JAROSŁAWSKI: Tarot. — B. SZARLITT: Zdziczyli ludzie. — Al. ŚWIDWIŃSKI: Z teki humorysty. — Kronika filatelistyczna. — Szachy. — Odpowiedzi grafologa. — Rozrywki umysłowe.

Rysunki w numerze T. GRONOWSKIEGO, K. MACKIEWICZA i in.

Trójbarwna okładka T. GRONOWSKIEGO

U Sophusa Michaelisa

Wywiad własny „Wiadomości Literackich”

Sophus Michaelis, najwybitniejszy obok Otto Runga współczesny pisarz duński, cieszący się ogromną popularnością zwłaszcza w Niemczech, autor licznych powieści, poezji i dramatów, — bardzo chętnie godzi się na udzielenie kilku informacji „Wiadomościom Literackim” o



SOPHUS MICHAELIS

swej twórczości. Michaelis liczy lat 55, jest prezesem związku literatów skandynawskich (łącznie z Danją, Szwecją, Norwegią, Finlandią, a nawet Islandią). W pięknych apartamentach pisarza, przy Ved Klövermarken 1, prowadzimy miłą rozmowę. Gospodarz domu z ożywieniem pokazuje liczne wydania swych dzieł w obcych językach oraz fotografie z wystawionych na scenie jego sztuk: „Wesela podczas rewolucji” („Revolutionsbryllup”) i „Lekarz” („Læge”).

— Cieszę się bardzo, — mówi, — że mogę mówić z kimś z Polski. Polska ma u nas wiele sympatii; dawniej, za moich młodych lat, uczyłem się nawet trochę po polsku... Dziś jednak już niewiele pamiętam.

— Jaka była pierwsza książka pana? — pytam Sophusa Michaelisa?

Pierwszą książką Sophusa Michaelisa był zbiór wierszy, wydany gdy autor miał zaledwie dwadzieścia lat. Później ukazał się tom opowiadań p. t. „Ludzie przyzwyczajenia”, o powodzeniu zdecydowała jednak dopiero „Wyspa jablek”. Z przekładów na obce języki tej książki pierwszy był polski p. Klemensiewiczowej, w r. 1899, z inicjatywy Brandesa. W latach późniejszych Michaelis odbył podróż naokoło świata, z obfitym plonem twórczym. Trwała ta podróż osiem miesięcy; rozpoczęła się od Norwegii, dokąd pisarz udał się na premię, „Wesela podczas rewolucji”, a objęła dalej Włochy, Grecję, Egipt, Chiny i Japonię. Za najważniejszy i najlepszy swój utwór uważa Michaelis dramat „Hellenicy i barbarzyńcy”, poprzedzony półrocznymi studiami w Grecji. Michaelis jest w ogóle gorącym wielbiciele kultury antycznej. Jego synek, urodzony w Rzymie, nazywa się Tao-Romano (symbol złączenia świata kultury zachodniej ze światem kultury wschodniej). Z „rzymskiego okresu” Michaelisa pochodzi „Okręt ku niebu”; treścią jego są zawiadzenia żołnierzy zatrutych gazami i odbywających w nieprzytomności kosmiczne wędrówki; wśród tych żołnierzy znajduje się także żołnierz polski. Utwór ten został sfilmowany.

Na nasze zapytanie opowiada p. Michaelis szczegółowo o genzie powieści o roku 1812 „Sen wieczny”, do której autor czynił studia w Rosji.

Na tle stosunków rosyjskich osnuty jest także „Lekarz”.

— „Lekarz” jest subtelniejszy — mówi znakomity pisarz — od „Wesela w czasie rewolucji”. Sztuka jest wybitnie sceniczna i żywa. Maluje w niej konflikt

między sumieniem lekarza a obowiązkiem rewolucjonisty. Przedstawiam w niej dwa światy: świat despotyzmu i świat rewolucji. Utwór nie nosi kolorytu lokalnego, ale oczywiście łatwo się domyśleć, że jego treść jest zaczerpnięta ze stosunków rosyjskich. Pewne szczegóły wzięte są z życia Lenina, którego brata, jak wiadomo, powiesił rząd carski. Przed wojną car osobiście zakazał grywania tej sztuki w Rosji, wystawiona została dopiero po przewrocie bolszewickim.

Pytamy o upodobania literackie Michaelisa.

— Autorzy francuscy. Moljer. Balzac. Lubię także literaturę rosyjską i niemiecką. Tłumaczyłem na duński Flauberta: „Salambo”, „Pania Bovary”, „Kuszenie św. Antoniego”. Dalej prześlizgnę starofrancuski romans miłosny „Aucassin et Nicolette”. Baudelaire’a. Edgara Poe.

Dopytujemy się jeszcze o nowe kierunki w literaturze duńskiej. Nie występują one, jak się okazuje, zbyt jaskrawo. Futurystyczna dawka jest bardzo niska. Trochę żywniejszy jest ekspresjonizm. Mówimy o wybitnych przedstawicielach literatury duńskiej. Rozmowa schodzi na Banga.

— Więc pan znał osobiście Hermana Banga?

— Znałem. Przyjaźniliśmy się. Był to bardzo nieszczęśliwy człowiek! Genjusz, w którym łączył się cudowny talent z najlichszym kaboynizmem, poza — z najwyższym człowieczeństwem. Przełotnie serce! Wieczny włóczęga, nigdy i nigdzie nie znalazł spokoju. — Bang był homoseksualistą. Nieszczęście chciało, że tę ułomność wielkiego pisarza wyzyskiwało dla niskich celów grono szantażystów-młodzików, którymi otoczył się w Kopenhadze... Wyzyskiwali go materialnie, grożąc wciąż denuncjacjami do policji. Biedny pisarz nie mógł wywikłać się z intryg, wreszcie wpadł w manię prześladowczą i dopuścił się szeregu skandalicznych wykroczeń. Doszło do tego, że policja kopenhaska kazała mu w dwadzieścia cztery godziny opuścić miasto... Znekany, tułał się początkowo po kraju, wreszcie jeden z wpływowych przyjaciół wystarał mu się w jakimś towarzystwie okrętowym o bezpłatny przejazd do Ameryki; dopomogli inni, i tak wybrał się „w podróż naokoło świata”... Bang był świetnym deklamatozem, improwizował — sprawiał na scenie wielkie wrażenie. Wiele spodziewał się po tej podróży. Przybył do Kalifornii, lecz tam nie mógł sobie dać rady, nie znał angielskiego języka. Wpadł w biedę, zachorował. Znalaziono go w gorączce na ulicy i zaniesiono do szpitala. Nie wiadomo, kto to, trudno się było z nim porozumieć. Wreszcie ktoś przypomniał sobie, że Herman Bang — to nazwisko wielkiego pisarza Danii, i zadesperzował o pomoc do kraju. Tymczasem Bang umarł. „Ośloń mię, śmierci, wybawicielko, od mąk życia” — pisał w ostatniej gorączce.

— Jeden z naszych wybitnych pisarzy, — rzekłem, — Berent, mówi, że często bywa, iż człowiek, który posiada talent, „przy wielkim sercu Chrystusa ma niskie instynkty zwierzęce”... — Tak, to bardzo pasuje do Banga — rzekł w zadumie Sophus Michaelis. Na zakończenie p. Michaelis wyraził żal, że współcześni pisarze polscy są tak mało znani w Danii.

— Należy — rzekł — porozumieć się z naszymi wydawcami w Kopenhadze, sądzę, że literatura polska ma znaczne u nas widoki powodzenia. Trzeba przysłać nam francuskie, angielskie, niemieckie przekłady książek polskich. Patrząc, jak postępują inne narody.

Tu p. Michaelis pokazał całą plikę książek autorów czeskich w tłumaczeniach niemieckich.

Sophus Michaelis interesuje się literaturą polską i w najbliższej przyszłości zamierza odwiedzić nasz kraj.

jm.

WICTOR MARGUERITTE

La garçonne

Chłopczyca



Autoryzowany przekład Leopolda Staffa

Instytut wydawniczy „RENAISSANCE”

Str. 300

Cena: złotych 5.—

Po konfiskacie

dwudzieste pierwsze wydanie!!

Poprzednie wydania rozchwytała publiczność w niespełna
sześć tygodni!

ANATOL FRANCE

pisze w swej przedmowie do tej książki:

„Nie było stronnictw, że Margueritte umieścił swoją Garçonne w środowisku rozpusty i interesów, które się widzi w Paryżu, bo ten mały świat najwidoczniej przedstawia niemoralność, lub, jeśli wolicie, zgniliznę współczesną. Nie tylko prawem, ale jest obowiązkiem malarza obyczajów unoczniać obraz najgorszego bezceństwa, jak to Wiktor Margueritte uczynił w „La Garçonne” z umiarem, zdradzającym człowieka smaku”.

Dotąd sprzedano przeszło 2 miliony egzemplarzy!!

W języku francuskim — 800.000 egz., niemieckim — 120.000 egz., czeskim — 80.000 egz., węgierskim — 60.000 egz., serbskim — 60.000 egz., angielskim — 1.000.000 egz.

**Do nabycia we wszystkich księgarniach
i w Instytucie Wydawniczym „Renaissance”
w Stanisławowie**

Przekłady z polskich poetów

„Srebrne i czarne” po francusku

W najbliższej przyszłości ukaże się po francusku tom poezji Jana Lechonia, w doskonałym tłumaczeniu Antoniego Dygata. Niżej przytaczamy kilka wzorów tych przekładów.

Pour moi, dans cette vie, ce qui est important, C'est l'amour et la mort, crois moi, uniquement. Je crains, les noirs de l'une, de l'autre les yeux bleus, Les deux sont mes amours, et mes morts toutes deux.

Par le ciel étoilé, au sein de la nuit claire, Ce sont elles qui guident l'ouragan planétaire, Qui, soufflant sur le monde, conquit l'humanité, Pour la douleur de l'âme, du corps la volupté.

Et les jours que l'on creuse, et la vie que l'on tord, Recherchant sans répit le Vrai pur dans la fange, Nous montre clairement, qu'ici bas rien ne change. La mort sauve l'amour, l'amour sauve la mort.

Lorsqu'a minuit, le soir nous empoigne l'ennui, Notre corps étant las et notre esprit stérile, Le cabaret bruyant nous jette dans la nuit, Et nous voilà, errants, par les rues de la ville.

Et puis: carillonner, quelquefois plus d'une heure, Que daigne le portier ouvrir finalement, Et l'espoir: échouer au seuil d'une demeure, Ou habite „le Mieux”, ou du moins „l'Autrement”.

La paresse.

L'ignoble lâcheté de mes péchés m'ennuie: Je n'en puis apaiser tout le fiel de mon âme, Vivre seul, je ne sais; les hommes je les fuis, S'il est un Dieu pourtant et qu'il juge l'infâme.

Comme l'oiseau, je veux replier mes deux ailes, Je maudis ma naissance, à ma fin je m'aspire. O! Etends moi, mon Dieu, au seuil de ton empire. Mon esprit me délaisse, tout mon être chancelle.

Ah! Je sais, Dieu existe, il damne l'anathème, Et mène les élus au celeste sentier. Nul ne sait de la vie résoudre le problème, Mais ce soir, je suis las. Je ne peux pas prier.

Rencontre.

Cette nuit d'insomnie, tourmenté par mes peines, Sur des rayons de lune, je ne sais pas comment, Soudain, je me trouvai transporté à Ravenne, Devant le blanc fantôme désiré si longtemps.

Par la fenêtre ouverte flottait une musique Qu'en parfums dissipait une brise légère. J'avais au milieu de ce bouquet mystique Sous un ciel rayonnant d'une pâle lumière.

„Ceux qui croient et qui prient, obtiendront le pardon”. C'est Dieu qui m'enchantait. Je baissai les paupières, Puis je perçus au loin le bruit d'une rivière.

Et Dante m'apparut accoudé sur un pont. „Est-ce toi, ô mon Maître, pourquoi tremble ta main, Pourquoi es-tu si pâle, quel affre te pénètre? Je t'implore, dis-moi le secret de ton être, Je suis las, je m'égare, montre moi le chemin”.

Est-ce lui qui parla, la lune, l'onde noire, Prosterné j'écoutais... un sanglot m'échappa: „Il n'est ni cieux ni terre, ni enfer ni purgatoire, Il n'est que Beatrice, qui justement n'est pas”.

NA 3 RATY MIESIĘCZNE

sprzedaje swoje wydawnictwa

Księgarnia Wydawnicza

H. ALTENBERGA

we Lwowie, Pańska 1. 16

Na żądanie wysyła katalogi bezpłatnie

Księgarnia Wydawnicza H. Altenberga we Lwowie, Pańska 1. 16

poleca

Tadeusza Micińskiego

W MROKACH ZŁOTEGO PAŁACU

czyli

Bazyliissa Teofanu

tragedia z dziejów Bizancjum X wieku

kart. zł. 3 50

JAN PARANDOWSKI

EROS NA OLIMPIE



format 8, objętość 14 arkuszy, papier bezdrzewny, egzemplarze sztywne, oprawne w półkarton, 14 plansz, z tych 13 w rotograwurze.

Nakładem Księgarni Wydawniczej, H. Altenberga we Lwowie, Pańska 1. 16.

„Książka, której szlachetna i wykwintna polszczyzna uderza od pierwszej zaraz strony, książka, przy której czytaniu podziwia się gruntowne klasyczne wykształcenie autora, i to autora młodego, książka przytem, która o jego talencie z Bożej łaski świadczy w sposób nie pozostawiający żadnych wątpliwości, książka, która osnuta na niezmiennie zajmującym motywie, niewątpliwie znajdzie licznych czytelników, — bo i wydana jest ślicznie, i zdobi ją szereg pięknie dobranych rycin” („Kurjer Warszawski”).

WYDAWNICTWO
ZAKŁADU NARODOWEGO

im. OSSOLIŃSKICH we Lwowie

JULJUSZ SŁOWACKI **DZIEŁA WSZYSTKIE**

(Całość wydawnictwa obejmuje 16 tomów)

Już ukazały się i są do nabycia we wszystkich księgarniach:

TOMY I, III, IV i X w cenie 16.— zł. za jeden tom

Dalsze tomy tego pomnikowego, zupełnego i krytycznego wydania pism poety są w druku lub w opracowaniu

LWÓW, Ossolińskich 11. WARSZAWA — Księgarnia własna, Nowy Świat 69. KRAKÓW — Filja wydawnicza, Św. Anny 11. POZNAN — Księgarnia Św. Wojciecha. WILNO — Księgarnia Św. Wojciecha.

pod redakcją
JULJUSZA KLEINERA

Nr. 11 „Naokoło Świata”

zawiera:

Prof. dr. Walery Goetel: Parki narodowe w Ameryce a w Polsce (2 kartony i 20 ilustracji) — Zdzisław Kleszczyński: List (7 ilustracji Gronowskiego) — J. Szapiro: Nowe linie powietrzne (10 ilustracji) — Anna Moszyńska: Ziemia obiecana (24 ilustracje) — Zdzisław Kleszczyński: Tajna dyplomacja (4 ilustracje B. Nowakowskiego) — Antoni Lange: Zagadnienie moralne (5 ilustracji B. Nowakowskiego) — Dr. Wł. Żelechowski: Góry lodowe (5 ilustracji) — Jan Kowalewski: Zaklinacze węzów (3 ilustracje) — Inż. Z. Kacprowski: Kanał Panamski (8 ilustracji) — J. A. Williams: Człowiek, który ukradł pelikana (8 ilustracji Grusa) — Z teki humorysty (rysował Grus) — Rozrywki umysłowe.

Okladkę trójbarwną wykonał J. Tom

Cena zł. 2.50

KSIAŻKI NA RATY

sprzedaje

DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ S.A.

ODDZIAŁ ul. Foksal nr. 15, tel. 111-85

Prosimy zwiedzić stałą wystawę książek:
otwarta codziennie od g. 10 — 7 bez przerwy

M-ME HENRIETTE

MAZOWIECKA 6

TEL. 224-00

PO POWROCIE Z PARYŻA

POLECA WIELKI WYBÓR

OSTATNICH MODELI

ORAZ WŁASNE KREACJE

POCZYNAJĄC OD ZŁ. 50.—

ANTAGONIZM WIESZCZÓW

RZECZ O STOSUNKU SŁOWACKIEGO DO MICKIEWICZA

NOWE DZIEŁO KRYTYCZNE

PROF. DR. MANFREDA KRIDL

CENA ZŁ. 14.—, NA CZERPANYM PAPIERZE ZŁ. 20.—

LITERATURA POLSKA

XIX W. CZ. I. OD TRZECIEGO ROZBIORU DO

WYSTĄPIENIA MICKIEWICZA (1795—1822)

NOWY PODRĘCZNIK SZKOLNY

PROF. DR. MANFREDA KRIDL

CENA ZŁ. 4.50

JAN SOBIESKI

MONOGRAFIA HISTORYCZNA

ARTURA ŚLIWINSKIEGO

WYDANIE TANIE, Z 14 RYC I 3 MAPAMI ZŁ. 6.—

WYDANIE WYTWORNE, Z 110 RYC. ZŁ. 20.—, W OPR. 32.—

KWIAT JABŁONI

CZWARTY ZBIÓR POEZJI

WACŁAWA SZELAŻKA

CENA ZŁ. 4.—

WYDAWNICTWA M. ARCTA w WARSZAWIE

NOWY ŚWIAT 35

Z opery warszawskiej

Dwie doskonałe kreacje Wandy Werminińskiej



CARMEN



CONCEPTION („Godzina hiszpańska")

„ISKRY”

TYGODNIK DLA MŁODZIEŻY
nr. 13

Jan Szczepkowski: Apel do miłośników przyrody. — Tadeusz Radliński: Sto dni w trzech częściach świata. — Ciekawe i nieciekawe. — W. M.: Ilu jest skautów na świecie. — Helena Duninowa: Jak powstał Teatr Narodowy. — W.: Wiosna! — Kazimierz Rosinkiewicz (Rojan): Złoty sen Lamikaj. — Niepróżnujące próżnowanie. — Kącik dobrych znajomych. — Nasze listy. — Rozrywki. — Gazetka.

Cena zł. 0.45

ZYGMUNT POMARAŃSKI i S-KA

Księgarnia nakładowa w Zamościu
oddziały: w Krasnymstawie, Włodzimierzu
i w Warszawie, Marszałkowska 52
(tel. 161-31)

poleca NOWOŚĆ:

powieść

LUDWIG A. BOUSSENARDA
DUSICIELE Z BENGALU

(przygody Europejczyków
w pełnych tajemnic Indjach)

Cena 5.— zł.



„UNDERWOOD PORTABLE”

NAJLEPSZA MAŁA
MASZYNA DO PISANIA

G. GERLACH

WARSZAWA — OSSOLIŃSKICH 4

Ruch teatralny

Teatr Letni: „Wygłany Eros”, fantastyczna groteska w 4 aktach z prologiem Tadeusza Koncynskiego; reżyser Emil Chaberski, dekoracje A. Aleksandrowicza.

Nie warto chodzić. Jeśli się już pójdzie, nie warto słuchać. Jeśli się słucha, nie warto o tem pisać. Jeśli się napisze, nie warto drukować. Jeśli się wydrukuje, nie warto czytać. Jacyś ludzie nauczyli się tego na pamięć. Dziwne. Wstyd.

Teatr „Szkarałta Maska”: „Tango śmierci”, sztuka w 1 akcie N. Arvaya i R. Garaya, reżyserował Stefan Jaracz; „Symulacja”, sztuka w 1 akcie Jerzego Clarena; „Napiętnowana”, komedia w 1 akcie M. Nanceya i J. Manoussy'ego, reżyserował Stanisław Stanisławski; dekoracje według projektów Tadeusza Gronowskiego.

Publiczność, która bywa w „Szkarałtej Masce”, nie jest godna niczego lepszego. Nikt przecież nie wyjdzie z do-

mu w deszcz i błoto o dwunastej w nocy, żeby za pieniądze dać się straszyc, męczyć i nudzić. A ci, którzy podochoćli sobie gdzieś w knajpie i pragną skończyć wieczór przyjemnie, tylko przez omyłkę mogą pójść do teatru. Schodzą się więc tam znajomi aktorów i recenzeni, a tych nie przestraszy ani p. Leniewicz, ani Różycki, ani nawet Wojciech Brydziński. Świetna aktorka pani Irena Sołska, która deklamuje wiersze Heleny Raynel, gra na wszystkich deskach i kładkach teatralnych, zamiast grać na pierwszej scenie polskiej, — bzdzi łał, a nawet trochę grozy. Tem bardziej jeśli się zważy, iż niema u nas aktorek, a po scenie szastają się różne mniej lub bardziej zdolne i ładne kobiety.

„Napiętnowana”, dobra i lekka komedijka, jest wzorową lekcją dla naszych autorów dramatycznych. Jest to zrobione zresztą nie i zabawnie, i nikt nam nie wmawia, że to jest sztuka lub poezja.

as.

Kurjer kinowy

Splendid: „Rajski ptaszek”. — Światowid: „Brutal i kobieta”. — Nowy: „Głos minaretu”.

Pójść do kina — ale do którego, lub raczej: na którą sztukę? — Czy wogóle traktować kino jak Epstein: idę na porcję kina? Ale to przypomina mi pewnego weterynarza z prowincji, który przyjeżdżając do miasta, wstąpił do apteki i prosił o 5 kilo książek. „Jakich?” pyta kupiec. „Jakich się panu podoba — coś do czytania”. — „Albo może chodźcie do kina, na aktorki” lub „na aktorów”? I tak robi wielu. — Idę na sztukę? Ba, ale którą? Jeszcze, gdy afisz podaje bliższe szczegóły, choćby nazwę wytwórni lub nazwisko reżysera, można sobie coś wybrać. Ale kinoteatry mają zwyczaj opuszczania tych szczegółów i zachwalania każdego filmu na nowo w takich samych superlatywach. Czasem można się orientować według „fotografów”, t. j. fotografii wystawionych w przedsiönku. Gdy na tych „fotografach” widzę np. morze, statek, wieżę, konie — mnie zaraz to ciągnie, obiecuje mi „prawdziwe kino”. Ale zwykłe dają w fotofach grupy salonowe, jakieś całowanie się, jakiś pięt mężczyzny nad głową wygiętej w tył kobiety. Zapowiadają się rzeczy nudne. — Wreszcie można się orientować według tytułów. Ale teraz kinoteatry lubią zmieniać tytuły w ten sposób, aby każdemu nadać — przepraszam za wyrażenie — zapach erotyczny. Można więc straszyć „wdepnąć”. — Trochę można się z czasem dowiedzieć, kupując sobie numer „Wiadomości Filmowych”, „Filmji”, „Ekranu i Sceny” — ale to są pisma reklamowe, które również każda sztuka tak samo zachwala, a o wielu nie piszą wcale.

Widz łaknący pokarmu kinowego jest więc skazany na przypadek, chyba że dają np. jakichś „Nibelungów” lub coś z Liljaną Gish; wtedy nawet choć się zawiedzie, nie pożałuje, bo przynajmniej nazajutrz powie znajomym: „widziałem, nic nadzwyczajnego, ale pójść warto”.

W tym tygodniu, pozbawionym wielkich „szlagierów”, chodzę na aktorki, aby zbadać dobrze i ten towar. Najprzód widziałem Priscillę Dean w „Brutalu i kobiecie”. Surowa, oryginalna piękność, w niektórych scenach staje się nieładna, np. w tych, gdzie gra prężenie. To jest ciekawe, że Liljana Gish ładniejsza, gdy gra uczucie, u innych aktorek dzieje się przeciwnie. Zresztą gra bohaterki w tym filmie nie wysuwa się na pierwszy plan i to zupełnie słusznie. Jest to dobry film morski, ze statkiem, z marynarzami, z walkami na pokładzie, z burzą. Bardzo lubię takie filmy. Akord wstępny: fale rozbijające się u brzozy morskiego. Słiczny widok na jakąś zatokę, do której zawija statek. Ale burza — już takich było dużo. To przelewanie się wody na pokładzie, te ciemności, w których pojawiają się nie-

rozpoznawalne postacie zmokłych marynarzy, sceny w kajutach — jakiś szablon ustalili się w fabrykach, reżyserzy wzajemnie od siebie się nauczyli, już nie obserwują, nie wymyślają, nie fantazjują, tylko kopiuja. Widziałem to zdaje się ostatni raz w „Wyspie zatopionych okrętów” czy w jakimś „Półwie perel”. Tak samo jest ze scenariuszem. Jeden z marynarzy musi być brutalnym, którego się potem poskramia. Dla miast portowych ma taki film zapewne pedagogiczne znaczenie. Tak samo i to, że ostatecznie triumfuje dyscyplina. Trzeba słuchać kapitała, mimo jego brutalności. Ta lekcja podana jest zresztą poważnie i dostojnie, w duchu conradowskim.

Zupełnie „wdepnąłem”, chcąc zobaczyć Normę Talmadge w „Głosie minaretu”. Niezmienne sympatyczna była jako Arila, dzikie dziewczę z gór, w „Upadku Babilonu”. Pokazuje się teraz, że to Griffith umiał ją wyzyskać. Ale zachciało się jej grać salonową damę. Na to jest stanowczo za brydka, i nawet w chwilach rozpaczy to się nie poprawia. Do mojej kolekcji szablonów reżyserskich przybył jeszcze jeden: twarz aktorki załzawiona, wzniesiona ku górze, tak że dużo widać szyi, i to wszystko suto naświetlone.

W „Rajskim ptaszku”, zrobionym bardzo dobrze przez wytwórnię „Paramount”, popisuje się Gloria Swanson. Widziałem tę aktorkę po raz pierwszy. Porównanie z Polą Negri narzuca się odrazu, tem bardziej, że niedawno widzieliśmy Polę Negri w filmie o bardzo podobnej treści, „Czarna Lu”; również fabrykacji „Paramount”. Zapewne obie damy zapragnęły rywalizować, która lepiej zagra apaszkę i która się lepiej nawróci. Gloria Swanson gra przesadnie, wygina się i rzuca, ale zdaje mi się, że jest u niej to, czego nie zauważyłem jeszcze u żadnej artystki filmowej: samodzielną inteligencję. Aby być tego pewnym, trzeba ją drugi raz zobaczyć w innej roli.

Amerykańska wytwórnia „Paramount” ma jakieś sposobiaki, dzięki którym przebieg akcji w jej filmach jest dziwnie składny i nienudny. Nie zdaje sobie sprawy, czy to jest czystość zdjęć, czy pojęcia światła, czy pomysły reżysera. Jak już raz powiedziałem, Amerykanie zato, że nie mają teatru, mają oryginalną twórczość kinową. Dziwię się zawsze temu, jak u nich napisy organicznie splatają się z akcją obrazową; gdy Europejczyk z napisami tylko „dają sobie rady”, a ideałem ich (myślnie!) jest, by wogóle napisy wyrzucić. — Amerykanie nie mają tego złego sumienia, nie kłopotują się, przewaga obrazów nad napisami jest u nich wynikiem naturalnym instynktu, a nie wysiłku teoretycznego. Ale też zato ich kino jest o wiele więcej teatrem niż europejskie.

Karol Irzykowski.

Z dn. 6 kwietnia b. r. redakcja „Wiadomości Literackich” przeniesiona zostaje z II na III piętro (ulica, numer domu, telefon — pozostają bez zmiany). Godziny przyjęć te same: poniedziałki, środy i piątki od 16—17.

Z powodu wyjazdu redaktora kierownictwo pisma na przeciąg kwietnia objął znany poeta p. Władysław Broniewski.

NUMER MARCOWY (39) „SKAMANDRA”

zawiera:

Antoni Słonimski: Ostatnia podróż. List. Menu. Flamengo. Rio. — Julian Bronowicz: Wzywianie trzeciego cudu (z powodu „Przedwiośnia” Żeromskiego). — I. K. Hłakowicz: Psalm nowoczesny. — Józef Wittlin: Na oczy (elegja). — Jerzy Liebert: Do świętej Katarzyny Genueskiej. — Mieczysław Braun: Ciało. — Julian Tuwim: Hokus-pokus. — Stanisław Ignacy Witkiewicz: Warjat i zakonnicza czyli Niema złego coby na jeszcze gorsze nie wyszło (krótka sztuka w 3 aktach i 4 odsłonach). — Jalu Kurek: Pielgrzymi. — Władysław Broniewski: Kabała. — Leonard Podhorski-Okolów: Mechanizm twórczości poetyckiej w świetle budowy przysłów.

Okladka TADEUSZA GRONOWSKIEGO.

Zeszyt pojedynczy zł. 3.—. Prenumerata z przesyłką w stosunku zł. 8.— kwartalnie.
Dla abonentów „Wiadomości Literackich” 25% zniżki.

Redakcja: Żłota 8 m. 5, tel. 132-82, administracja: Świętokrzyska 30 m. 5, tel. 223-04. Konto czekowe 85-15.

Tydzień bibliograficzny

informacje dostarczane przez księgarnię E. Wende i S-ka

Powieść, nowela

Edgar Rice Burroughs. Tarzan groźny. Powieść. Przetłumaczona z angielskiego Zofia Lubodziecka. Okładkę rysował Edmund John. Warszawa, Trzaska, Evert i Michalski, (1925); str. 263 i 1nl.

(Deotyma). Jadwiga Łuszczewska. Paniątko z okienka. Starodawny romansek. Wydanie drugie. Poznań, Karol Rzepicki, 1925; str. 239 i 1nl. Zł. 3.60.

Sven Elvestad. Na tropie zbrodni. Powieść, Lwów, „Zorza”, 1925; str. 231 i 1nl. Zł. 2.—.

Juliusz Verne w piekle. Przetłumaczył Karol Irzykowski. Lwów, „Lector-Polonia”, 1925; str. XII i 180. Zł. 3.—.

Guy de Maupassant. Panna Fifi i inne nowele. Warszawa, E. Wende i S-ka, (1925); str. 174 i 2nl. Zł. 0.95.

Władysław St. Reymont. Pisma. Wydanie zbiorowe uzupełnione wstępem Adama Grzymały-Siedleckiego i z portretem autora. Tom XIV. Rok 1794. Insurekcja. Powieść historyczna. Wydanie trzecie. Warszawa, Gebethner i Wolff, 1925; str. 448. Zł. 8.50. — Tom XV. Wampir. Wydanie trzecie. Tamże; str. 284. Zł. 5.50.

Kazimierz Tetmajer. Waterloo. (Okładka Kamila Mackiewicz). Warszawa, E. Wende i S-ka, (1925); str. 167 i 1nl. Zł. 0.95.

Minjatury. Nr. 5. O. Wilde. Paradoxy i bons mots. Opracował Jan Ostrowski-Naumoff. Okładkę i ozdoby projektował Józef Hollak. Warszawa, Hulewicz, 1924; str. 158 i 2nl.

Poezja

Wacław Żyndram — Kościółkowski. Odjady. Warszawa, „Poludnie”, 1925; str. 2nl. i 36 i 4nl.

Wacław Szelażek. Kwiat jabłoni. Poezji zbiór czwarty. Okładkę wykonała Jadwiga Gawińska. Warszawa, M. Arcl, 1925; str. 98 i 2nl. Zł. 4.—.

Jan Zahradnik. Ludziom smutnym. Lwów, „Ateneum”, 1925; str. 96 i 4nl.

Utwory dramatyczne

Biblioteka Krytyczna Arcydzieł Literatury Polskiej. Nr. 34. Franciszek Zabłocki. Sarmatyzm. Opracował Piotr Lewiczewski. Tarnów, Zygmunt Jelen, 1925; str. 32. Zł. 0.30.

Muzyka

Julia Baranowska-Borowa i Jadwiga Wierzbicka. Metodyka nauczania śpiewu w szkole ogólnokształcącej. Podręcznik dla nauczycieli szkół ogólnokształcących i młodzieży ostatnich kursów seminarjum. Warszawa, Gebethner i Wolff, 1925; str. 94 i 2nl. Zł. 3.—.

Religia

Pisma ojców kościoła w polskim tłumaczeniu pod naczelną redakcją prof. dr. Jana Sajdaka. Tom III. Eugeniusz z Cezarei. Historia kościoła. O męczennikach palestyńskich. Z greckiego tłumaczył, zaopatrzył wstępem, objaśnieniami, składowidzami ks. Arkadiusz Lisiecki. Poznań, Fiszer i Majewski, 1924; str. XXXII i 646 i 2nl. Zł. 15.—.

Historia, pamiętniki, polityka

Książka Nowego Życia. Posel Kazimierz Czapliński. Państwo a kościół. Konkordat Polski z Rzymem (z dodaniem pełnego tekstu konkordatu). Warszawa, „Nowe Życie”, (1925); str. 58 i 6nl. Zł. 0.80.

Stanisław Dągel. Rok 1831 w Mińsku. Tom II. Wydawnictwo Instytutu Badania Ziem Wschodnich Rzeczypospolitej Polskiej. Warszawa, z zapożyczeniem z działu nauki ministerstwa w. r. i o. p., 1925; str. 4nl. i 189 i 3nl. Zł. 6.—.

Dr. Ryszard Ganszynie. Sprawa numerus clausus i zasadnicze jej znaczenie. Antysemityzm akademicki jako objaw

Korespondencja

O „Stajnie Augiasza”.

Do redaktora „Wiadomości Literackich”.

W nr. 61 „Wiadomości Literackich” w artykule p. t. „Stajnia Augiasza” zamieścił p. Gabriel Karski aż dwukrotny „protest” przeciw moim recenzjom z przekładu dzieła niemieckiego, zamieszczonym w „Przeglądzie Warszawskim” (nr. 32).

Proszę uprzejmie o zamieszczenie na łamach „Wiadomości” mej odpowiedzi:

1) Prof. Wachholz, autor inkryminowanego, przez p. Karskiego przekładu „Fausta”, nie pracował dotąd na niwie literackiej. Do tłumaczenia tragedji Goethego przystąpił jako amator, który umiał o wielkości poety. Przekład jego nie jest ani gorszy od innych, dawniej już u nas rozpowszechnionych, które w recenzji mej przytoczyłem, a jako praca dyktanta zasługują w zupełności na łagodniejszą ocenę. Niekiedy przecież „in magnis voluisse satis”. Jeśli p. Karski tego nie rozumie, czy też zrozumieć nie chce, przekonywać go nie myślę. Krytyka literacka nie musi zaraz być celem („walić, łupić, grzmocić, prać”, i jak tam dalej radzi p. Żeleński), może także — i jak sądzić powinna — używać niekiedy delikatniejszego oręża.

Przy tej sposobności muszę z mej strony zaprotestować przeciw złośliwym aluzjom p. Karskiego do zawodu prof. Wachholza.

2) Polemikę w sprawie „Niemiec” Heinego w przekładzie p. Monaty ułatwił mi bardzo sam p. Karski, który z rozbrajającą szczerością przyznaje się, że przekład tego nigdy nie czytał. Okazało się zresztą, że nie raczył dokładnie przeczytać i recenzji, przeciw której „protestuję”, gdyż inaczej byłby zauważył, kto jest właściwie tej recenzji autorem. Wiedząc p. Karski jest bardzo surowy dla innych, natomiast znacznie łagodniejszy dla siebie. Trudno oczywiście polemizować z nim o rzeczy, których bliżej nie zna, a z wielkim hałasem atakuje. Nie chcąc jednak w tak łatwy sposób pozbawiać się przeciwnika, stwierdzam, że recenzja moja poświęcona jest niemal w zupełności samemu utworowi Heinego, a nie tłumaczeniu p. Monaty, które oceniam dopiero przy końcu i pochwalilem w jednym tylko zdaniu, — przyznając, że ponad miarę, — uwzględniając wielkie trudności, jakie tłumacz miał w tym wypadku przed sobą i pociągnięty kilku ładnie przełożonemi ustąpiami.

Na łagodność mego sądu wpłynął też fakt, że była to pierwsza moja recenzja zamieszczona w „Przeglądzie”, nie chciałem tedy bawić się z okazji tego debiutu w bezlitosność Zoila.

Kończąc, zastrzegam się stanowczo zarówno przeciw „protestom” p. Karskiego, jak i przeciw złośliwej insynuacji p. Wagnera („Wiadomości Literackie”, nr. 62), jakobym recenzjami moimi „sprzyjał szerzeniu się lichoty w polskiej literaturze tłumaczonej”.

Dr. Zdzisław Żygulski (L w ó w).

Ride si sapis. Dziękujemy. S. S. w Krakowie. Dziękujemy. Ami. Nie skorzystamy. Ta sama. Banalne.

St. R. w Krakowie Dziękujemy. Stef. w Lwowie. Adres p. Miłazewskiej: Warszawa, Ordynacka 6.

B. R. Bez najmniejszej wartości. Wł. z. w Krakowie. Dziękujemy. Koło Polonistów Uniwersytetu Poznańskiego: Zamek, Warszawa.

L. K. w Krakowie. Przrynek 4. Autorowi „Kulię poetów”. Nie będzie drukowany.

A. Ch. Nie do druku. H. Sz. w Przemyśle. Jest to właściwie powtórzenie tych samych argumentów.

„Przyjacielowi Szkoły”. Polecamy p. Juliana Ejsmonda, pl. Trzech Krzyży 12. J. K. „Okno” drukowane nie będzie. St. R. z wierszy nie skorzystamy.

E. S. w Stanisławowie. Z przekładów z Wildgansa nie skorzystamy.

M. P. w Łodzi. Słabe.

TEATR QUI PRO QUO

dziś i codziennie

Program nr. 8

Hallo! Ciotka!

udział
całego zespołu

„DROGA”

MIESIĘCZNIK
społeczno kulturalno-polityczny

№ 2 zamieszcza m. in.:

Br. Siwik. Poszukiwanie drogowskazu. A. Skwarczyński. Uwagi o wojsku.

W. Dmd. O emisję pieniądza dodatkowego. J. Stawpiuk. Ukraińcy i Starorusini.

L. Wasilewski. Polacy w Rosji sowieckiej.

Prenumerata 5 zł kwartalnie.

Numer pojedynczy 2 zł.

Adres:

Warszawa, Chmielna 33 m. 5, tel. 175-34

Egzemplarz okazowy na żądanie wysyła się.

Żądać w księgarniach, kioskach i na kolejach

Wyszedł Nr. 2 (lutowy) miesięcznika

MUZYKA

pod redakcją

MATEUSZA GLIŃSKIEGO

Artykuły: St. Barcewicz „Garść wspomnień”, A. Chybińskiego „Mazurki Szymanowskiego”, M. Glińskiego „Stanisław Barcewicz”, St. Niewiadomskiego „Stanisław Moniuszko”, F. Szopskiego „Smutne refleksje”, E. Wellesza „O muzyce współczesnej”. Sprawozdania z kraju (Warszawa, Kraków, Poznań) i zagranicą (Londyn, Barcelona, Moskwa). Nowe wydawnictwa. Przegląd prasy. Kronika. Biuletyny. Impresje muzyczne. Trybuna artystów. Rozmaitości.

Ankieta w sprawie Filharmonji Warszawskiej

W dodatku ilustracyjnym: „Ilustrowana kronika muzyczna”, nr. 2, „Karykatury muzyczne”, nr. 1.

W dodatku nutowym: „Dwie minjatury” L. M. Rogowskiego.

Numer zawiera 60 stron i kosztuje 1.50 zł.

Tom XXVI

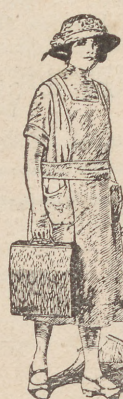
Biblioteki Dzieł Wyborowych:

ALAIN-GERBAULT Sam przez Atlantyk

Tłum. Stefania Podhorska-Okolów

Cena w prenumeracie
1 zł. 23 gr. (w oprawie)

MAŁY REMINGTON



trwały, lekki,
tani, niezbędny
w domu,
w biurze,
w podróży

Posiada
42 klawisze
jak duża wzo-
rową maszyną

BLOCK-BRUN
S. A.

Warszawa
Hotel Bristol



TOW. WYDAWNICZE

WACŁAW CZARSKI I S-ka

w Warszawie, Marszałkowska 113,

POLECA NASTĘPUJĄCE NOWOŚCI:

BANDROWSKI-KADEN, JULIUSZ: *Miasto mojej matki*

(nowele)

BRONIEWSKI WŁADYSŁAW: *Wiatrak* (poezje)

CONRAD-KORZENIOWSKI JOSEPH: *Korsarz* (powieść)

LIEBERT JERZY: *Druga ojczyzna* (poezje)

SHAW BERNARD: *Święta Joanna* (sztuka) z przedmową autora

DO NABYCIA WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH I KIOSKACH KOLEJOWYCH „RUCH”

GEBETHNER i WOLFF

DZIAŁ WYDAWNICZY

P O L E C A

NOWOŚCI Z OSTATNICH DNI

Biblioteka Uniwersytetów Ludowych i Młodzieży Szkolnej:

№ 10. Orzeszkowa E. — Ogniwa, wyd. IV. 0.40

№ 11. Orzeszkowa E. — Panna Antonina, wyd. IV. 0.45

№ 12. Orzeszkowa E. — A. B. C., wyd. V. 0.40

№ 15. Sienkiewicz H. — Bartek zwycięzca. Nowela, wyd. VI. 0.60

№ 20. Reymont Wł. — Tomek Baran, wyd. III. 0.50

№ 21. Reymont Wł. — Pewnego dnia, wyd. II. 0.40

№ 33. Sienkiewicz H. — Na oceanie Atlantyckim. (Listy z podróży), wyd. III. 0.30

№ 43. Skarbek Fr. — Mundur. Jaszczółt, wyd. II. 0.25

№ 49. Sienkiewicz H. — Z puszczy Białowieskiej, wyd. III. 0.35

№ 53. Sienkiewicz H. — Za chlebem, wyd. V. 0.80

№ 55. Sienkiewicz H. — Sielanka. Legenda żeglarska, wyd. nowe. 0.30

№ 62. Sewer (Ignacy Maciejowski) — Wiosna. Obrazki malowane w słońcu, wyd. II. 0.50

№ 63. Sewer. — Dola, wyd. II. 0.40

№ 74. Lenartowicz T. — Wybór poezji, wyd. II. 0.50

№ 87. Chodźko Ign. — Boruny, wyd. II. 0.40

№ 88. Górski K. M. — Biblijoman. Nowela, wyd. II. 0.30

№ 120. Kubala L. — Obłężenie Lwowa. W roku 1648, wyd. II. 0.30

№ 123. Szajnoch K. — Wnuka Króla Jana III, wyd. II. 0.40

№ 126. Szajnoch K. — Zwycięstwo r. 1675 pod Iwowem, wyd. II. 0.25

№ 173. Szekspir W. — Romeo i Julia. Tragedja w 5 aktach. Przekład J. Paszkowskiego. wyd. nowe. 0.70

№ 183. Prus B. — Grzechy dzieciństwa, wyd. II. 0.80

№ 194. Szujski J. — Bartosz Głowacki. (Ostatnia nobilitacja). Ustęp z dziejów r. 1794. Z przedmową Henryka Mościckiego, wyd. II. 0.50

Böhm-Bawerk E. — Kapitał i zysk z kapitału. Dział pierwszy. Historia i krytyka teorii zysku z kapitału. Tłumaczenie z trzeciego wydania niemieckiego. Pod redakcją Władysława Zawadzkiego. Tom II. (Biblioteka Wyższej Szkoły Handlowej) 6.—

Bujak Fr. — Studja geograficzno-historyczne 12.—

Guzewski A. — Treściwy kurs instrumentacji, wyd. II. 5.—

Joteiko T. — Nowy podręcznik do nauki muzyki w szkołach ogólnokształcących, zawierający ćwiczenia intonacyjne, rytmiczne, dynamiczne, piśmienne i pamięciowe, różne rodzaje dyktanda, wzory z dzieł mistrzów muzycznych do czytania a vista, kanony, duety, tercety, oraz pieśni. Zeszyt III. Tonacje do 3 znaków włącznie, i modulacje 2.80

Kleszczyński Z. — Białe noce. Powieść. 4.50

Orzeszkowa E. — Pisma. Wydanie zbiorowe zupełne, ze wstępem A. Drogoszewskiego. Tom V. Anastazja — Bene nati, wyd. II. 5.—

Przyborowski W. — Bitwa pod Raszynem. Powieść historyczna dla młodzieży. Z 6 rys. K. Gorskiego, wyd. VI, karton 4.50

Reymont Wł. St. — Pisma. Wydanie zbiorowe zupełne, ze wstępem Ad. Grzymały-Siedleckiego i portretem autora. Tom II—V. „Chłopi”, wyd. V. 25.—

Tom XIII. Rok 1794 II. Nil desperandum. Powieść historyczna, wyd. III. 9.—

Tom XV. Wampir. Powieść, wyd. III. 5.50

Rodziewiczówna M. — Lato leńnych ludzi. Powieść. Z ilustr. St. Sawiczewskiego, wyd. II, karton 4.—

Siedlecki-Grzymała A. — Samosęki. Powieść, wyd. II. 6.—

Święto pieśni dzieci polskich. I. Opracowała Julia Baranowska-Borowa, wyd. II. 0.60

PRENUMERATA z przesyłką 6.50 złp. kwartalnie, zagranicą 2 dol. — OGŁOSZENIA: za wiersz wysokości 1 mm. szerokości 1 szpalty 30 groszy za tekstem; 50 groszy w tekście; drobne 5 groszy za słowo. Kolumna posiada 6 szpalt.

Zakłady Graficzne B. Wierzbicki i S-ka, Warszawa, Chmielna 61. Tel. 46-73.

REDAKCJA: Żłota nr. 8, m. 5, tel. 132-82, poniedziałki, środy i piątki od godz. 16—17. ADMINISTRACJA: Świętokrzyska 30 m. 5, tel. 223-04, codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 9—13. Konto pocztowe nr. 8515.

Redaktor: MIECZYSLAW GRYZDEWSKI.
Wydawcy: ANTONI BORMAN i M. GRYZDEWSKI